

# RODZINA

*rolska*



MIESIĘCZNIK  
ILUSTROWANY  
WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>

ROK IX. GRUDZIEŃ 1935.

	Str.	D Z I A Ł K O B I E C Y	Str.
Ten, który przyjsię miał . . . . .	354	Dla duszy — <i>Tomasz à Kempis</i> . . . . .	379
Niepokalana — <i>Z. K.</i> . . . . .	355	Co robić? Gdzie szukać pracy? — <i>L. Kotarbińska</i> . . . . .	380
Chwała Bogu na wysokości — <i>Adolf Gajdosz</i> . . . . .	356	Gdyby nas pytano! — <i>L. K.</i> . . . . .	380
Czyn polskiego kapłana — <i>J. R.</i> . . . . .	359	Roboty na drutach — <i>Marja Stefkowa</i> . . . . .	381
Rozmowa mężczyzny z kobietą — <i>A. R.</i> . . . . .	360	Futro dla pani, palto dla dziewczynki — <i>El. Kotwicz-Onichimowska</i> . . . . .	381
Blaski i cienie zimowych dni — <i>Dr. Kazimierz Połtowicz</i> . . . . .	361	Co każda z nas wiedzieć powinna? . . . . .	382
Z księgi pielgrzyma — <i>Jan Czar</i> . . . . .	263	Odpowiedzi od redakcji . . . . .	382
Biblioteka Narodowa — śpichrzem twórczości polskiej — <i>Jerzy W. Helbich</i> . . . . .	264	Humor i satyra . . . . .	383
Zagadnienie doboru małżeńskiego — <i>Dr. A. Niesiołowski</i> . . . . .	366	Kącik dla dzieci . . . . .	384
Śpiąca królewna — <i>Józef Birkenmajer</i> . . . . .	368		
Dwaj bracia — <i>Aleksander Junosza-Olszakowski</i> . . . . .	373		
Noc Bożego Narodzenia w Australji — <i>S. Marja-Alicja</i> . . . . .	374		
Na falach czasu . . . . .	375		

## UPOMINKI GWIAZDKOWE

### Dla dzieci

	zł. gr.
Beaurepaire-Louvagny, LALECZKA . . . . . <i>Bohatera opiekunka rodziny.</i>	-80
J. Spillmann, JENIEC KORSARZA . . . . . <i>Stałość chłopczyka, porwanego przez mahometan.</i>	-80
NIEWIDOMA . . . . . <i>Wierna Irlandka podczas prześladowania Kościoła katolickiego.</i>	-80
W. Grochowska, WIESŁAWEK . . . . . <i>Chłopczyk, który został rycerzem królowej Jadwigi.</i>	-60
P. Budzyńska, BASIA . . . . . <i>Gwiazdka i pierwsza Komunia święta dziewczynki.</i>	-40
S. Witowski, JĘDREK WŁÓCZĘGA . . . . . <i>Chłopiec, chodzący z dziadem, zostaje misjonarzem.</i>	-40
H. Sokołowski, JADZIA . . . . . <i>Zyciorys świątobliwej dziewczynki, zmarłej w r. 1927.</i>	-20
M. Schmidtmayr, BĘDZIEMY MIELI ŚWIĘTE DZIECI . . . . . <i>Sześć zyciorysów świętych dzieci.</i>	-70
A. Karwacka, ANIELSKA DZIECINA (Gemma Galgani) . . . . . <i>Porywający przykład dla dzieci i młodzieży.</i>	-60
Ks. A. Majewski, RÓŻE I LILJE . . . . . <i>14 opowiadań religijnych dla dzieci.</i>	-60
A. Radęcki, DZIEJE ŻYDOWSKIEGO DZIEW- CZĄTKA (nowość) . . . . . <i>Przeżycia wewnętrzne duszy, szukającej prawdy.</i>	-50

### Dla młodzieży

	zł. gr.
C. Stoińska, KRÓTKIE ROZMYŚLANIA DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ . . . . . <i>Medytacje na okres Bożego Narodzenia.</i>	1.20
Ks. S. Paślawski, IRUSIA . . . . . <i>Sierota po ciężkich przejściach znajduje opiekunów.</i>	2.50
Ks. S. Paślawski, DZIECIĘ PUSZCZY . . . . . <i>Dziewczyna o mocnych zasadach życiowych.</i>	2.—
Ks. S. Paślawski, UWIĘZIONA KSIĘŻNICZKA <i>Wpływ dobrej przyjaźni.</i>	2.50

### Cykl „POTĘGA PRZYJAŹNI”:

Ks. S. Paślawski, ZWYCIĘSTWO NINKI . . . . .	3.—
„ „ OFIARA KRZYSI . . . . . opr.	4.—
„ „ Z PAMIĘTNIKA NINKI I DA- NUSI . . . . . br. 3.—, opr.	4.—
„ „ TALIZMAN DANUSI . . . . . br.	3.—
„ „ . . . . . opr.	4.—
„ „ POKRZYŻOWANE PLANY . . . . .	
„ „ . . . . . br. 2.50, opr.	3.50
„ „ TRIUMF PRZYJAŹNI (no- wość) . . . . . br. 2.50, opr.	3.—

Każda powieść z tego cyklu stanowi dla siebie całość. Wszystkie opisują dzieje tych samych uczennic. Przeprowadzając je przez przeszkody i trudności, wzięte z życia, autor w pociągającej formie powieściowej podaje najważniejszą drogę postępowania w życiu dziewczęciem.

W. Grochowska, ŚWIĘTA NOC . . . . . <i>Jasienka w dwóch odstonach.</i>	-30	Z. Topińska, KASZTELANIC . . . . . <i>Obrazek sceniczny z życia św. Stanisława Kostki.</i>	1,20
---	-----	---	------

### POLECA

**WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNÓW**  
Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71, P.K.O. 14.664.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/2 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:  
R O C Z N I E:

Polska . . . . .	7 zł.		Czechosłowacja . . . . .	40 kor. cz.
Niemcy . . . . .	5 R. mk.		Ameryka . . . . .	2 dolary
Francja . . . . .	25 frank		Inne kraje . . . . .	7 fr. szw.

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł; KWARTALNA — 2.00 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 60 gr.  
Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon: 240.15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 15—17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

# RODZINA POLSKA

MIESIĘCZNIK  
LUSTROWANY

ROK IX. WARSZAWA GRUDZIEŃ 1935.



# TEN, KTÓRY PRZYJŚĆ MIAŁ

Z odległości dziewiętnastu wieków podziwiamy świat starożytnej Hellady i Romy. Oczarowuje nas piękno posągów greckich, olśniewa harmonja proporcji gmachów, zdobnych w wysmukłe kolumny. Zadziwia głębia myśli filozoficznej mędrców i prawników. Impонуje ogrom Imperium Romanum jego potęga i ład wewnętrzny... Świat ten wydaje się nam jakąś baśnią czarodziejską odległych czasów, przesnionym snem ludzkości... Ale niech nas nie zagłuszają rozgwały bitew, toczonych przez zwycięskie legjony rzymskie, niech nie zastaniają rzeczywistości wizje luksusowych uczt, ani przepych dworu cesarza — „równego bogom”.

Ten piękny świat był przeraźliwie smutny. Nieprawdopodobne bogactwa, zgromadzone w Rzymie, stolicy świata, były udziałem nielicznej tyłki, garści wybrańców. Masy ludności grzęzły w nędzy. Potęga imperjum opierała się na pracy niewolników i ludów podbitych. U źródeł starożytnego ładu społecznego stały gwałt i przemoc. Godność ludzka deptana była na każdym kroku przez silnych i bezkarnych potentatów. I uroczą Hellada i wielka Roma urosły i żyły z krzywdy ludzkiej. Piękno starożytne skropione było łzami słabych i maluczkich...

Nawet ci, którzy opływali w dostatki, nie czuli się szczęśliwi. Nikt nie był pewien swego jutra. Nawet wszechpotężny cesarz-imperator.

Dawnym bogom jeszcze składano prawdziwe ofiary, stanowiło to bowiem obowiązek nakazany przez państwo, ale nikt już w prawdziwość ich nie wierzył. Ani bogactwa, kształceni na filozofach greckich, ani ciemny i przesądny lud. Legenda bogów przeżyła się i rozwiła...

Głębsze umysły zdawały sobie sprawę z upadku ówczesnej ludzkości. Wiedzieli przytem, że wszelkie próby naprawy pozostawały bez wyników dodatnich. Inaczej być nie mogło, jeżeli nikt z ludzi myślących nie mógł sobie nawet wyobrazić istnienia państwa bez niewolnictwa.

I właśnie przed dziewiętnastu wiekami, gdy zewnętrzne znaczenie i siła cesarstwa rzymskiego doszły do najwyższego rozkwitu, gdy rządził August i nie było na świecie żadnej innej potęgi, któraby mogła stać się niebezpieczną dla Rzymu — już robak rozkładu wewnętrznego zaczynał toczyć organizm cesarstwa. Upadek życia rodzinnego i moralności ogólnej, ucisk podatkowy i polityczny doprowadziły do wyludnienia półwyspu Apenińskiego, kolebki państwa. Dumny lud rzymski staczał się powoli coraz niżej. Granic imperjum broniły wszak tylko najemne legjony, złożone z barbarzyńców.

W poszukiwaniu wyjścia niejedyn umysł starożytny stawał przed nieprzebytą ścianą rzeczywistości nad wszelki wyraz oplakanej. Jeden z najślawniejszych Rzymian powiedział przecież, że naprawić istniejące stosunki może tylko Bóg, gdyby zechciał zstąpić na ziemię... I nietylko Żydzi, którzy oczekiwali swego Mesjasza, nie rozumiejący już istotnej treści swoich ksiąg świętych, przekazujących pokoleniu w pokolenie prawdę Objawioną o przyjściu Odkupiciela i Odnowiciela, żyli w nadziei rychłego ziszczenia się prorocetw, ale i świat pogański odczuwał również dreszcze oczekiwania. Spodziewano się wielkich zmian, przyjścia Ducha Bożego na smutną bezmiernie ziemię, bo żyć bez szczęścia i bez nadziei szczęścia człowiek nie może.

I właśnie wtedy wypełniły się czasy i w Ziemi Judzkiej, w ubogiej stajence betleemskiej narodził się Ten, który „miał przyjść”, którego ludzkość czekała z utęsknieniem. Przyszedł, lecz „świat Go nie poznał” i „swoi

Go nie przyjęli” (Jan I, 10, 11). Widział Jego cuda, lecz nie uwierzył. Odkupiciel i Odnowiciel świata zawisnąć musiał na krzyżu Golgoty, aby krwią swoją obmyć winy ludzkości, a przez zmartwychwstanie swe skruszyć żądło grzechu i śmierci. Sponiewierany i nieuznawany Chrystus-Król założył jednak swoje królestwo na ziemi...

Głosił naukę miłości, szerzył prawdę, która była zaprzeczeniem wszystkich fałszów starożytnego świata. Nauka Jego stała się dobrą nowiną dla maluczkich i ubogich. Ubodzy i nieuczenni podjęli trud rozpowszechniania jej po całej kuli ziemskiej. Człowiek poczuł się wreszcie dzieckiem Bożem. Niewiasta staje się równą mężczyźnie w człowieczeństwie. Matżeństwo splugawione przez namiętności ludzkie, podniesione zostaje do godności Sakramentu.

Tak samo jak Boskiemu Mistrzowi, tak i Jego uczniom świat wypowiedział nieubłaganą wojnę, ale walkę tę przegrał. Na glebie zaś, zroszonej krwią męczenników za Wiarę, wyrosło wspaniałe drzewo Kościoła Powszechnego.

A gdy runęła zmurszała u podstaw swych potęg Romy, gdy barbarzyństwo starało się zatrzeć wszelkie ślady cywilizacji hellenisko-lacińskiej — Kościół stał się strażnikiem kultury i jej depozytariuszem. Był dosłownie arką przysiężną „pomiędzy nowymi a dawnymi laty”, przechowując zdobycze wiedzy ludzkiej i wysiłków duchowych starożytności.

Nikt inny tylko Kościół Chrystusowy wychował współczesne narody europejskie i wdrożył je do samodzielnego życia.

Ale ta praca Kościoła, nigdy nie ustająca, jest ustawiczną walką. Zwyciężony przez Chrystusa świat pogański razporaz podnosi głowę. Podważał on Opokę Piotrową, posługując się bronią herezji i odszczepieństwa. Dziś opowiada się bądź za wyraźnym powrotem do bałwochwaltwa, bądź za bezbożnictwem. Z człowieka, dziecięcia Bożego, chce uczynić dziecię zbuntowanego szatana, zniszczyć rodzinę chrześcijańską i przywrócić stan rzeczy sprzed narodzin Zbawiciela.

W drodze niejako kompromisu świat godzi się jeszcze na zachowanie norm nauki chrześcijańskiej w zaciszu domowym, nie chce natomiast, by prawda Chrystusowa zatriumfowała w życiu publicznym i w stosunkach pomiędzy narodami.

Nic więc dziwnego, że pomimo wysiłków mężów stanu całego świata ludzkość nie jest pewną dnia jutrzejszego. Zło coraz butniej podnosi wszędzie głowę. Powstaje więc wielkie wołanie całej ludzkości o naprawę.

Naprawa ta będzie jednak możliwa tylko pod warunkiem, iż Chrystus niejako poraz drugi narodzi się pośród nas, przez uznanie ze strony jednostek, społeczeństw i państw jego praw królewskich, jego nauki miłości wszechogarniającej.

Tak jak świat starożytny zginął niesławnie, tak zginąć może i świat dzisiejszy, zapierający się Chrystusa. Dlatego praca Kościoła zmierza obecnie przede wszystkim w kierunku uświadczenia narodów o istocie nasyżych stosunków i konieczności powrotu ludzkości do Boga. W Polsce katolickiej nie znikło zrozumienie czem jest dla nas Kościół katolicki i poczucie potrzeby współpracy z nim szczerzej i odważniej. Niechże nam wszystkim gdy zgromadzimy się przy stole wigilijnym, błogosławi Mała Boża Dziecina ze żłobka betleemskiego i niech użyczy nam sił i wytrwałości w dążeniu do przywrócenia praw Chrystusa w całym naszym życiu zbiorowym.

# NIEPOKALANA

Przygotowując ludzkość przez szereg wieków na przyjęcie „Króla wieków nieśmiertelnego, niewidzialnego, samego Boga”, upatruje Stwórca pośród ziemian żywy przybytek, w którym Słowo ma się stać ciałem, wybiera tajemniczą świątynię, gdzie mają się odbyć zaślubiny niewysłowione natury Boskiej z naturą ludzką, Boga z stworzeniem.

Z chwilą, gdy w odwiecznym wyroku Bożym, wybór padł na Marję, Najświętsza Panna staje się najbliższą spośród stworzeń Bogu, a więc najpełniej, najdoskonalej korzysta, najobficiej czerpie z samego źródła łask i błogosławieństw Bożych. Jej też jedynej pośród stworzeń, jako Tej, w której łonie przeczystem Słowo w ludzką miało się przyoblec naturę, przypadł w udziale najszczytniejszy przywilej, klejnot ponad wszelkie klejnoty; Ona jedna wyjęta została spod ogólnego prawa grzechu pierwotnego, nieskalana, czysta zobaczyła światło ziemskie i bez cienia najlżejszej nawet winy osobistej przeszła przez życie. Taką była wiara, takie przekonanie w Kościele Chrystusowym, od samego początku ery chrześcijańskiej: pokolenia żyły i umierały z wiarą w Niepokalaną Poczęcie Najświętszej Marji Panny.

I rozumie to i czuje sumienie i serce katolickie, że nie mogło być inaczej, że w tem arcydziele stworzenia, w duszy wybranej, przeznaczonej na godny przybytek dla Przedwiecznej Mądrości, nie mogło być miejsca dla grzechu, a natomiast zamieszkać musiały niewyczerpane i niezgłębione tajemnice łask, niedościgłe dla żadnego innego stworzenia. Stąd nie dziwi nas, że wysłaniec Boży Gabriel przywitał Marję pozdrowieniem „Ave, łaski pełna”, jakgdyby w tem słowie chciał zamknąć wszystko, co tylko o świętości, piękności i doskonałości da się powiedzieć, tak, że ponad blask tej chwały nikt się z ziemian nie wyniósł, nikt Jej nie dorównał, „kornej i górnej nad wszystkie stworzenia” — jak o Niej śpiewa klęczący u Jej stóp cytarysta Marji Bernard w słynnej Boskiej Komedji Dantego.

W dziejach czci Niepokalanej naród polski znajdo-

wał niepoślednie miejsce. Już na synodzie w Gnieźnie w r. 1510 zgromadzeni biskupi polscy pod przewodnictwem Jana Łaskiego, arcybiskupa gnieźnieńskiego, uchwalili, by w całej Polsce obchodzono uroczyste święto Niepokalanego Poczęcia; król polski Władysław IV ustanawia order Niepokalanego Poczęcia, a akademja krakowska, wzorując się na akademji paryskiej, obowiązywała przysięgą swych profesorów, że bronić będą przy każdej nadarzonej sposobności tej prawdy wiary.

Kiedy zaś nieśmiertelnej pamięci papież Pius IX, gorący przyjaciel uciśnionej podówczas Polski, ogłosił w dniu 8 grudnia 1854 roku Niepokalaną Poczęcie jako dogmat, artykuł wiary, w który każdy chrześcijanin-katolik musi wierzyć pod utratą Zbawienia, na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej rozpoczął się niejako drugi oficjalny akt triumfu Niepokalanej w Polsce, gdzie każde serce z natury promieniowało serdeczną i głęboką miłością Marji, a z swem gorącym uwielbieniem łączyło błagalną modlitwę, by ta, co przez Swe Niepokalane Poczęcie starła głowę węza, symbolu piekła i szatana, wyzwoliła naród z niewoli i skróciła czas ciężkiej próby i nawiedzenia Bożego.

Piękną była Marja, odbłaskiem duszy niepokalanej, odbłaskiem chwały mieszkającego w Niej Boga i odbłaskiem cnót, rozwijających się na tem cudownym podłożu; marzeniem tedy jest poetów, natchnieniem artystów, ideałem dziewic, zachwytem świętych. Ale, nietylko piękną jest, lecz i najszczęśliwszą z istot ziemskich i żywym pomnikiem tej wielkiej prawdy, że szczęście ziemian w duszy ma swe siedlisko i że tylko czyste i nieskalane serca promieniować mogą radością, chociażby nawet w bólu i cierpieniu. Marja w swem życiu ziemskim dość miała trosk, przeciwności i prześladowań choćby tylko w ucieczce do Egiptu, czy podczas Nocy Betleemskiej, kiedy to „Bóg sam — jak mówi jeden z pisarzy — troszczył się tego wieczoru o wszystkich, tylko nie o swoich najbliższych”, aż do strasznej w swej grozie sceny na Kalwarji, tak mężnie i bohaterko zno-



Niepokalana

M. Feuerstein

ADOLF GAJDOSZ

# CHWAŁA BOGU NA WYSOKOŚCI

(Z cyklu „Triptych wánocni”).

Śnieg leżał na polach i na górskich zboczach, a gościńce były gęsto zasypane.

Od granic państwa zbliżali się ku miastu dziwni wędrowcy, jakich dotąd nikt nie widywał w tym kraju.

Na osiołku jechała kobieta, osłonięta długą chustą. Twarz miała zakrytą przed ostrym wichrem, hulającym po otwartym polu. Za osiołkiem kroczył mężczyzna z laską pielgrzymią w dłoni.

Od czasu do czasu osiołek postękiwał, jakby dopominając się czegoś.

Po każdym takim stękanii mężczyzna głaskał go uspokajająco:

— Jeszcze tylko trochę cierpliwości, mój stary! Miasto już przed nami!

— Zmęczona jesteś, Maryjo? — współczująco dopytywał się kobiety, jadącej na osiołku.

Kobieta odchyłała chustę z twarzy, a jej wielkie, piękne, ciemne oczy serdecznym spojrzeniem dziękowały mu za jego troskliwość. Zdawało się, że trzęsie nią febra.

Sto kroków przed nimi były już pierwsze rogatki miejskie. Pielgrzymi skierowali się ku nim, gdy nagle zza szlabanu wyszedł jakiś człek, stanął na środku gościńca i głosem szorskim zakrzyknął:

— Hej, wy! Należy uiścić opłatę miejską za dwie osoby i jedno zwierzę!

— Panie urzędniku! — ozwał się przybysz; — jesteście ludzie ubodzy... nie mamy pieniędzy... Nie zatrzymuj nas przeto, raczej nam pokaż drogę do jakichś dobrych ludzi, gdzie moglibyśmy przenocować. Żona moja jest zmęczona długą podróżą, a czeka ją ciężka godzina. Pan Bóg zapłaci ci za twą dobroć.

— Mówiłem wam już: zapłaćcie podatek miejski, a potem idźcie sobie, gdzie chcecie, dziady jedne! Nie jestem waszym opiekunem, ale funkcjonariuszem miejskim! — huknął zniecierpliwiony urzędnik.

— Nie mamy pieniędzy, dobry człowiecze...

— Oho! Zaraz z wami pogada policja! — nasrożył się urzędnik, bo właśnie w tej chwili ukazał się człek drugi, najwidoczniej stróż porządku publicznego.

— Ani słowa więcej! Marsz za mną! — ozwał się surowym głosem groźny strażnik. I pochwywszy za uzdę biednego osiołka, odciągnął go, jak pojmanego niewolnika, za sobą.

Stanęli przed szarym, posępnym budynkiem. Osiołka uwiązano w płotu w podwórzu, a podróżnych wprowadzono do kancelarii.

Za biurkiem siedział człowiek pilnujący całości do-

bra publicznego. Grzebał się w aktach, wynotowując przeróżne drobne kradzieże, maluchne oszustwa i szacherki, żebranieg i włóczęgostwo domokrażców, natomiast co grubszych opryszków i defraudantów zostawiając sobie na spokojniejsze i ważniejsze chwile urzędowania.

— Panie inspektorze, przyprowadziłem tu jeszcze dwoje takich włóczęgów! — zameldował u wnijscia służbisty strażnik.

— Dawać ich tutaj!... Hej wy... Jak się nazywacie?

— Nazywam się Józef... Jestem cieślą... a to jest moja żona Marja... Prosimy wielmożo...

— Milczeć, póki nie zapytam! Skąd przybywacie?

— Z Nazaretu...

— Pokażcie dowody osobiste!

— Nie mamy żadnych...

— Co? Nie macie żadnych papierów?!... No, gdzież jest paszport, upoważniający do podróży?... kwit stwierdzający, że zapłaciliście wszystkie podatki?... dowód odbycia powinności wojskowej?... świadectwo obywatelstwa... i tak dalej... i tak dalej...

— Panie wielemożny... ja i moja żona...

W imieniu prawa skazuję was za włóczęgostwo na 48 godzin aresztu...

— Panie urzędniku, zlituj się nad kobietą, która jest cierpiąca i spodziewa się już lada chwila...

— To należy do uprawnień właściwych władz krajowych wedle paragrafu...

— Jesteśmy cudzoziemcami, jak powiadałem, panie — wtrącił się znów Józef.

— Co? Tego mi jeszcze brakowało! Precz! Nie chcę z wami mieć nic do czynienia! Toby dopiero z tego urosła sterta aktów!

To rzekłszy, inspektor w uniesieniu trzasnął pięścią w stół; w tejże chwili ukazał się pękaty, jak kulka, strażnik.

— Wyprowadzić tych cudzoziemców bez przynależności państwowej! Dać im dziesięć koron wsparcia, jako ludziom ubogim, a wyprawić ich precz, bo inaczej zgubimy się w protokółach! Odstawić ich do samych granic miejskich!

— Rozkaz, panie inspektorze — odrzekł, salutując, pękaty i puciołowaty strażnik.

W podwórzu osiołek chrupał resztkę pachnącego siana, danego mu przez jakieś pachole, któremu się spodobał. Józef pomógł trzęsącej się z osłabienia Marji wsiąść na osiołka — i ruszyli we trójkę wślad za przedstawicielem władzy ku granicom miasta.

szonej dla Boga i świata. Nigdy jednakże nie było wątplenia ani załamania i nawet jako Matka Bolesna w smutku i bólu niewypowiedzianym promienieje nadzieją i szczęściem ofiary.

Nowoczesny człowiek w pogoni za szczęściem zapominał o tej wielkiej prawdzie, że iskra szczęścia, tak jak w duszy ma swój początek, tak tylko w kulturze ducha może znaleźć swe urzeczywistnienie. Charakterystyczną jest rzeczą, że dziś już nietylko Kościół, ale ludzie nauki, lekarze, badając ruinę fizyczną i psychiczną człowieka i poszukując nowych metod leczenia, przenoszą punkt ciężkości na psychę. Jenó że nie wystarczy tu techniczna psychoanaliza, trzeba duszę przepoić bal-

samem łaski Bożej, ożywczeni promieniami światła nieba, profilaktycznie strzec tę duszę od zbroceń i odchylen, bo dusza jest darem Bożym, a każdy dar stwarza pewne zadanie, które musi być spełnione. Im większa kultura duszy, tem większa radość, tem większe szczęście życia, tę prawdę stwierdza w całej pełni Niepokalana i doświadczenie życiowe. Kult dla Niepokalanej po myśli Kościoła — to nietylko uczucie choćby najżywsze dla Jej cudownej piękności i świętości, ale droga życia według tego wzoru najdoskonalszego, który Bóg ludziom postawił na ziemi, dążenie do najwyższej kultury duszy, z którą niemylnie łączy się szczęście istoty rozumnej na ziemi.

Z. K.



MADONNA

Rafael Santi

Strażnik nie był złym człowiekiem, tylko wyglądał tak srogo, jak wygląda każdy mężczyzna, gdy odzieje się w mundur.

Po drodze skoczył do piekarni, nakupił chleba i bułek, a z gospody wyniósł dwie szklanki ponczu, by pokrzepić pielgrzymów. Podziękowali mu gorąco za tę uczynność.

— Tu już granica miasta... tam zaś wiedzie moja droga służbowa. Jedźcie więc z Panem Bogiem, a nie ukazujcie się już u nas więcej, bo nasz stary to człek surowy.

— Zacny z ciebie człowiek, panie strażniku. Nigdy ci tego nie zapomnimy.

— Dobrze, że się tak stało. Ale radzę wam, nie wracajcie się, bo nasz stary nie lubi długiej pisaniny.

To rzekłszy, pulchny strażnik odszedł spowrotem do swej strażnicy.

Józef, Marja i osiołek powlekli się znów wgłąb ciemnej nocy.

— Zmęczona jestem... nie wytrzymam już długo tej udręki... Czuję, że godzina moja już się zbliża — odezwała się Marja cichym głosem.

Śnieg chrząścił pod nogami Józefa, bezradnie kroczącego wedle boskiej ślicznej swej połowy. Osiołek kłusał wytrwale, dając co pewien czas znać o sobie swem cierpliwem pojękiwaniem, jakby chciał dodać więcej otuchy zmęczonym wędrowcom.

Po kilkugodzinnej wędrowce dostali się do wioski. W gospodzie jeszcze się świeciło; gwarno tam było i wesoło.

Józef podszedł ku drzwiom świetlicy.

— Proszę was o nocleg, moiściewy, ludkowie drodzy — rzekł nieśmiało.

Ale nikt nie zważał na jego słowa. Wszyscy pili i weselili się.

Ba, nawet niektórzy, wyszedłszy z gospody, stroili sobie nieprzystojne żarty i jeśli mówić plugawie bezceństwa. Przed gospodą ukazał się jakiś człowiek w mundurze.

— Temu lepiej zejdźmy z drogi — westchnął Józef i odprowadził osiołka na gościniec.

Wsie, któremi przechodzili, były już pogrążone w zupełnej ciemności.

Aż dopiero w noc głęboką, gdy już upadali ze zmęczenia, dostrzegli migocące wśród szafasów światelko.

Józef zastukał we wrota. W oknie ukazał się cień mężczyzny.

— Dobrzy ludzie, szukamy noclegu — przemówił Józef.

Z domku ozwał się głos:

— Zara, zara wam otworzę... i spać będziecie mogli...

Drzwi się otworzyły. W progu ukazał się chłop i baba, serdecznie zapraszając podróżnych do środka chaty.

— Osiołka waszego damy do stajni — mówił gospodarz; — sam się też tam położę. Wam odstąpię izdebkę; uboga jest ale czysta. Cóż robić, biedni jesteśmy ludziska.

Wędrowcy weszli do ubogiej izdebki, gdzie gospodyni natychmiast zajęła się Marją. Usłała jej legowisko na świeżej słomie i wzięła się do gotowania wywaru z ziół leśnych.

Mężczyźni, widząc, że przeszkadzaliby tu tylko, odeszli na spoczynek do stajenki.

O północy Marji urodził się synaczek.

Spoglądając na swe pierworodzone dziecko, przepiękna Rodzicielka jaśniała radością, której nie dorówna nie w świecie, boć niema większego szczęścia nad szczęście jasnego macierzyństwa, zrodzonego z niewymownych cierpień kobiecych.

Józef, wezwany przez gospodynię, ukląkł u łóża zbolalej rodzicielki, całując jej białe, znojem zroszone czoło. Stróż nocny chodził jeszcze w dole po wsi i trąbił godziny; chwilami mylił się w nucie, jako że niezbyt pewnie stał na nogach... był bowiem mocno strąbiony.

Ale ledwie poczęło świtać, już rozniósł powszędy nowinę o narodzeniu dziecięcia.

A kobiety, przychodzące z dobrowoli z bezinteresowną pomocą, przejęte narodzeniem niemowlęcia, modliły się:

— Błogosławiona bądź Panno, której archanioł, Bóży wysłannik, przyniósł poselstwo od Pana, jaśniejsze świętością jako gwiazda zaranna na beżmiernem niebie tysiącleci. Nie było przed Tobą i nie było po Tobie świętszej dziewicy, bo Ty jedyna byłaś na to wybrana, by nosić koronę Matki Syna Bożego. Nie było niewiasty bardziej wsławionej i łaskawszej, jako ty, której macierzyństwo pobłogosławiły niebiosa darem niebiańskiu, Dziecięciem Jezus, o którego nadejściu pisali psalmiści i prorocy starego zakonu, a który miał stać się odkupicielem.

Obłubienico Pana, która w boleściach i mękach pielgrzymowałaś ku stajniom betleemskim, aby się wypełniły słowa Gabrjela, zwiastuna Bożego! Najwdzięczniejsza i najświętsza Rodzicielko, która w białych ramionach tuliłaś małego Jezuska, zesłanego z niebios, — która jedyna między dziewicami izraelskimi byłaś godna stać się matką Syna Bożego, Jezusa Chrystusa!

Jakież to znaki dziwne jawią się na niebie? Czemuz pastuszkowie wybiegają z szałasów?

Przecż śpiewają chwałę Bogu na wysokości, a pokój ludziom dobrej woli?

Wszystko to gwoli temu robaczkowi, na którego przyjście ludzie twardych serc zamykali swe wrota — na przyjście Króla królów i Królowej chórów anielskich, która żyć będzie w sercach ludzkich i królować na wieki wieków jako miłościwa, najłaskawsza Orędowniczka u tronu Jezusa Chrystusa.

Przełożył z czeskiego Józef Birkenmajer.

*Przypisek od tłumacza.* W Bernie na Morawach wychodzi pięknie redagowany, w gustowną szatę zdobniczą odziany kwartalnik literacki p. t. „Archa” (Arka), będący organem literatury czeskiej katolickiej. Redaktorem naczelnym jest E. Masák, współpracuje zaś z nim szereg wybitnych pisarzy. Do nich należy Adolf Gajdoš, czynny jako essayista, nowelista i poeta, autor wielu, prześlicznie wydanych tomików (Hlinieny sviet, Pokorné soužení, Bilá plachetnice, Triptych vánocni etc.), przytem wybitny tłumacz dzieł literatury obcych. Szczególnie upodobał sobie literaturę polską; dobrze władając językiem naszym, przełożył wiele utworów J. A. Gałuszki, K. Hłakowiczówny, nade wszystko zaś poetów grupy „Czartaka”, o których napisał wnikliwe studjum.

Nadmienimy, że w Czechach wychodzi jeszcze kilka czasopism literackich o charakterze katolickim. Tu należą: „Akord”, „Pocis” i inne.

## NOC WIGILIJNA W BETLEEM

Pielgrzymka 17/XII .35—7/I.36). 13 miast Ziemi Świętej: Ateny, Konstantynopol. Cena 875 złotych — na raty.

Zapisy: „FRANCOPOL” — Warszawa, Mazowiecka 9.



# CZYN POLSKIEGO KAPŁANA

W dniu 9 listopada upłynęło dwadzieścia pięć lat od chwili zgonu ks. Piotra Wawrzyniaka, jednego z najwybitniejszych Polaków doby przedwojennej. Nazwisko ks. Patrona znane jest w całej Polsce, szczególnie zaś wdzięczną pamięć o nim przechowuje Poznańskie i Pomorze.

Był to mąż niezwyklej energii, pracy i wytrwałości. Działalność jego, bez przesady mówiąc, zaważyła na losach b. zaboru pruskiego i odbiła się dodatnio i na innych dzielnicach. Ks. Wawrzyniak jest bowiem twórcą gospodarczej niezależności, najstarszej dzielnicy Rzeczpospolitej. Rozwinął on i umocnił tam ruch spółdzielczy, stworzył handel polski i zahamował postępy niemieczyny, wydzierającej już ziemię polską z rąk odwiecznego jej posiadacza rolnika polskiego. Jego mrówcza, zapobiegliwa praca przeciwstawiła się skutecznie wysiłkom rządu pruskiego i w niwecz obróciła zamysły hakatystów.

Pochodził z ziemi kościańskiej i był synem ludu wielkopolskiego. Odznaczał się herculesową budową fizyczną, idącą w parze z duchowemi jego właściwościami. Po ukończeniu gimnazjum w Śremie i studjów teologicznych w Poznaniu i w Monasterze, w 1872 r. otrzymał w katedrze poznańskiej święcenia kapłańskie i objął obowiązki wikariusza w Śremie, pełniąc je przez 26 lat. W 1897 r. Leon XIII mianował go swym szambelanem, a w roku następnym mianowany został proboszczem w Mogilnie, na którym to stanowisku pozostawał do końca życia.

Jako duszpasterz odznaczał się ks. Wawrzyniak pobożnością i gorliwością. Opiekował się zwłaszcza terejarstwem i sam był członkiem III Zakonu, nosząc pasek św. Franciszka pod fioletami prałaciemi. Należał też do założycieli Związku Kapłanów „Unitas”.

Ale ks. Wawrzyniak nie ograniczał się tylko działalnością ściśle duszpasterską. Rozumiał dobrze rolę społeczną Kościoła i potrzeby swego narodu. Zdawał sobie sprawę, że, będąc kapłanem katolickim i Polakiem, ma obowiązek bronięcia polskość. Pamiętał przytem, że Chrystus Pan nie tylko nauczał rzesze, ale i karmił je w potrzebie...

Już w 1873 roku zakłada ks. Wawrzyniak w Śremie Bank Ludowy, który pod jego kierownictwem rozwija się wkrótce w zasobną i wzorową instytucję, która stała się szkołą dla spółdzielców. Jednocześnie bierze udział w Związku Spółek Zarobkowych (tak wówczas zwano spółdzielnie). W 1883 r. zostaje wybrany członkiem Patronatu tych Związków, a w 1887 r. wiceprezsem. W 1886 doprowadza do założenia Banku Spółek Zarobkowych. Po nagłej zaś śmierci pierwszego patrona spółdzielni ks. Augusta Szamarzewskiego, ks. Piotr Wawrzyniak zostaje powołany na stanowisko Patrona.

Jako patron, kontynuuje pracę swych poprzed-

ników w dziedzinie usamodzielnienia gospodarczego dzielnicy pruskiej i stara się rozwinąć szeroko ruch spółdzielczy i rozszerzyć kredyt rolniczy. Od r. 1894 przyjmuje więc do Związku spółki parcelacyjne, jako nowy praktyczny, w warunkach ówczesnych, typ spółdzielni, przeciwdziałający osławionej Komisji Kolonizacyjnej. W 1900 r. tworzy wreszcie ks. Patron swe słynne „Rolniki”, t. j. spółdzielnie rolniczo-handlowe, ukrócające lichwę towarową.

Popiera ks. Patron i zakłada pożyteczne wydawnictwa gospodarcze, jest też jednym z założycieli Księg. św. Wojciecha w Poznaniu. Nie obca mu jest i działalność polityczna. W latach 1894—1898 posłuje do Sejmu Pruskiego, jest również prezesem Centralnego Komitetu Wyborczego, najwyższej władzy polskiej w Rzeszy Niemieckiej. Należy do całego szeregu instytucyj gospodarczych, kulturalnych i oświatowych, i odgrywa wszędzie wybitną rolę. Uchodzi w oczach Niemców za „niekoronowanego króla polskiego”. I istotnie powaga tego kapłana i działacza społecznego była ogromna. Ks. Patron Wawrzyniak ogarniał swą działalnością nie tylko Wielkopolskę, Pomorze, Śląsk i Warmję — ale oddziaływał i na Małopolskę, i na Kongresówkę. Dr. Fr. Stefczyk, twórca ruchu spółdzielczego w Małopolsce pozostawał z nim w kontakcie. Zaglądał nawet ks. Wawrzyniak i do Warszawy i tu wykładał wraz z ks. St. Adamskim, obecnym Biskupem śląskim, i ks. prof. Zimmermannem system pracy społeczno-gospodarczej w Wielkopolsce.

W cyfrach owoce pracy ks. Wawrzyniaka tak wyglądają. Gdy objął patronat Związków, liczyły one łącznie 78 spółdzielni i 26,5 tys. członków, obracających kapitałem 19 milj. marek. W roku 1910 Związek liczył już 265 spółdzielni, w tem 185 Banków Ludowych, 50 Rolników, 19 spółek ziemskich i 11 różnych spółdzielni. Spółdzielnie te obracały kwotą 269 milj. złotych marek i liczyły 125 tys. członków. Wkłady oszczędnościowe wynosiły 205 miljonów. Obrót zaś ogólny dosięgnął 638 milj. marek.

Wskutek tej działalności od roku 1897 rozpoczyna się w zaborze pruskim częściowe odzyskiwanie ziemi, utraconej przez Polaków. Tak w okresie 1897—1904 Polacy utracili na rzecz Komisji Kolonizacyjnej 208 tys. ha, nabyli zaś z rąk niemieckich 267 tys. ha, zysk więc na korzyść polską wyniósł 59 tys. ha. A były to czasy najgorsze, bo od 1886 roku pracowała gorliwie Komisja Kolonizacyjna a rząd pruski wyasygnował na cele kolonizacji niemieckiej na ziemiach, wydartych Polsce, miliard złotych marek...

Oparła się jednak polskość tym wysiłkom wroga, a ks. Patron Wawrzyniak, idący w ślady swych po-

(Dok. na str. 372).



# ROZMOWA MĘŻCZYNY Z KOBIETĄ

— Wy, mężczyźni, staracie się na każdym kroku zepchnąć kobietę na dawne stanowisko... Nic dziwnego, odczuwacie całą groźbę niebezpieczeństwa, jakie z równouprawnienia dla was się wyłania. Ale zaszły tak wielkie zmiany w ustroju społecznym, że kobieta musiała, siłą rzeczy, sięgnąć po należne jej stanowisko w społeczeństwie.

— O jakich zmianach pani myśli? Chyba o tem, że w przemyśle zrodziło się zapotrzebowanie na kobiety, jako na tanią siłę roboczą... Z tem się zgadzam. Ale w tem tkwi właśnie wasza tragedia... Bo wy same nawet nie zdajecie sobie sprawy, jak jesteście przez nas, mężczyzn, jako siła robocza wyzyskiwane. Owszem, zgadzam się, że w niezliczonych dziedzinach pracy kobieta może w zupełności zastąpić mężczyznę... Ale, czy to jest wasz sukces, że jesteście przez nas wynajmowane za bardzo niską cenę, że mężczyźni posługują się wami tam, gdzie im się nie oplaci czynić wysiłku...

— No, to pan tylko tak mówi... Ale faktem jest, że już się rozpoczęła między mężczyzną a kobietą walka — walka o pracę. Wyścig pomiędzy wami a nami. I ostatecznie przekonacie się, że my, kobiety, nie damy się już spowrotem zepchnąć na to stanowisko społeczne, jakie zajmowałyśmy dawniej.

— Ach, rozumiem... Pani chce powiedzieć, że kobieta walczy... Tak, walczy — przez krótko ostrzyżone włosy, palenie papierosów, strój, zbliżony krojem do męskiego, przesiadywanie w knajpach... Tak — chce kobieta pokazać, że przestaje należeć do płci słabej... Ale czy to nie śmieszne?

— Tak! może pan ma rację... Było to śmieszne, ale zupełnie naturalne, jako reakcja, jako odruch krańcowy wyzwalającej się kobiety spod ciągłej upokarzającej kurateli mężczyzny. Ale... dziś my, kobiety naprawdę nowoczesne, już rozumiemy, że te ekscentryczne, zewnętrzne atrybuty równouprawnienia nie prowadzą do celu. Dziś nam nie chodzi o cechy ekscentrycznej „śmieszności” — jak pan mówi. My, kobiety nowoczesne, chcemy samodzielnie myśleć, chcemy pracować, chcemy zbliżyć się śmiałym krokiem — do ideału człowieka.

— Ach, moja pani, to pięknie brzmi... i to jest bezwzględnie wzniosły cel, ale jak to wygląda w praktyce. Jak dotychczas, jedyną korzyść, jaką osiągnęłyście ze swej wolności — to naśladowanie mężczyzny — i powiedziałbym śmiało — naśladowanie w złem.

— Ale pan stanowczo przesadza!... Już mówiłam, że to jest tylko częściowo prawdą... To zjawisko przejściowe. To prawda, że kobieta zachłysnęła się wolnością... Ale to przeminie... Kobieta porzuci już niedługo bierne naśladownictwo typu maskulinarnego, pozostanie sobą — t. j. kobietą, która potrafi być matką, opiekunką domu... która rodzi dzieci i je wychowuje — jak dawniej. Ta tylko nastąpi różnica, że kobieta nie będzie niewolnicą...

— A, rozumiem! Więc pani twierdzi, że zdobywając te wszystkie nowe prawa i przywileje — kobieta doprawdy stanie się wolna i samodzielna. Przypuśćmy — że to się stanie... Ale wtedy powstaje pytanie najważniejsze: Czy ta wolność i niezależność, do której tak

dążycie — umożliwią wam zdobycie również szczęścia osobistego? Jest to — mojem zdaniem — zagadnienie bardzo poważne, sięgające głęboko w strukturę nowoczesnego życia. Czy pani o tem myślała?

— Owszem! Ale jestem pewna, że pan chce dowiedzieć, iż wszyscy, którzy zabierają głos w tej sprawie, dają na to odpowiedź negatywną.. Czyż tak?

— Być może, że odpowiedź wypadnie w ten sposób, jak to pani przypuszcza. Muszę jednak zaznaczyć, że argumentu nie zaczerpnę tym razem w opinii mężczyzn. Niech pani posłucha, co mówią w tej sprawie właśnie same kobiety — i to nawszkroś nowoczesne, postępowe — takie, jak np. Karin-Michaelis. Czy pani czytała jej książkę p. t. „Ex-zona”?

— Nie! Czytałam tylko recenzję, ale nazwisko autorki — jest mi oczywiście znane — i wiem, że książka ta narobiła wiele hałasu.

— A więc, niech pani posłucha... Bohaterka powieści jest właśnie kobietą tak zwaną „wyzwoloną” — otrzymuje rozwód, pełną swobodę, otrzymuje płatną posadę, co pozwala jej żyć samodzielnie. Więc wybiera sobie znajomych, decyduje o swem otoczeniu, pędzi wesołe życie, bawi się, ale jest przy tem wszystkim nieszczęśliwa, bo zaczyna rozumieć wiele prawd życia, których przed tem nie była w stanie dostrzec. Zaczyna rozumieć, że zabawy, używanie i tak zwana „wolność” — nie są w stanie wypełnić życia kobiecie... I dochodzi w końcu do bardzo ciekawej refleksji: oto gotowa jest poświęcić swą wolność i niezależność — dla zwykłej miłości i ciepła ogniska domowego.

— Więc pan chce dowiedzieć, że kobieca wolność i samodzielność w gruncie rzeczy są bardzo problematyczne?

— I tak — i nie! Zależy, jaka wolność. Jeżeli dla was wyzwoleniem jest odejść od rodziny, od obowiązków żony, matki — i zdobyć pracę w biurze, warsztacie, sklepie, fabryce — to stanowczo twierdzą, że to jest złudna wolność. Bo, co to znaczy? To, że możecie same płacić za mieszkanie i stroje. Ale przytem musicie znosić kaprysy waszych szefów, kaprysy, a często nawet brutalne wymagania, które są częstokroć gorsze od kaprysów waszych mężów — i są bardziej przykre — i dodajmy szczerze — poniżające waszą godność. A czy tak jest — niech pani odpowiedzą fakty, o których się ciągle słyszy. Już ta sprawa zaczyna się przedostawać na łamy prasy. Jest to sprawa bolesna, ale jest to fakt.

— Więc pan chce — abyśmy wszystkie wychodziły zamaż — nawet za brutalów i degeneratów, abyśmy milczały i cierpiały? Nie, my wolimy odejść, wolimy pracować... Bo to jest wstrętne: żyć z mężczyzną, którego się nie kocha — i być od niego zależną. Powiadam panu, nie chcemy być niewolnicami!...

Owszem, owszem — ma pani rację!... Ja chcę tylko wykazać, że gdy byliście „niewolnicami” w rodzinie, było wam tak samo — a może nie tak tragicznie — jak jest obecnie, gdy macie tę problematyczną „wolność”. Bo niech pani tylko szczerze powie — czy wy, „samodzielne, wyzwolone”, kobiety, uciekające od obowiązków rodziny — nie jesteście zmęczone samotnem, bezcelowem życiem, czy nie marzycie o życiu przy boku ukochanego męża, czy nie marzycie o miłości, z której pozornie kpicie? — Ja chcę tylko wykazać, że współczesna „wolna i niezależna” kobieta nie znalazła szczęścia w zmianie swej sytuacji społecznej. Przeciwnie, stała się bardziej samotna o nieszczęśliwa. A. R.

NAJLEPSZE NICI „SPECJALNE” „TRZY LILJE”



Tor kolejowy Oslo—Bergen

## BLASKI I CIENIE ZIMOWYCH DNI

Grudzień!...

Od tego wyrazu wieje mrozem i powstają wspomnienia podróży po trzęskich drogach.

Szary, milczący krajobraz ożywia się nowem, swoim pięknem z chwilą, kiedy z białych chmur zaczynają migotać w powietrzu delikatne, jak puch, płatki śniegowe. Zrazu rzadkie i rozplywające się na ziemi, stopniowo stają się obfitsze i trwalsze, aby w krótkim czasie ozdobić ziemię szatą nieźrównanej, alabastrowej bieli, śnieg zasypuje ścieżki leśne, wypełnia doły i rowy, oblepia okna domów kupkami lub pyłkiem...

Cichy, jasny zimowy dzień, zlekka nasycany ukośnymi promieniami słońca. Pełne uroku milczenie przerywa tylko trzask zalanych kryształem lub obciążonych grubą okiścią śnieżną gałęzi drzew, albo chrzęst szreni, skorupy śniegowej, łamiącej się pod nogami wilków...

Śnieg pokrył ziemię grubą warstwą. Nastąpiła pora zimowych sportów.

Wytworni i zamożniejsi narciarze zjeżdżają się do Zakopanego, aby tam, w miejscowości górzystej przelatywać w zawrotnym skoku nad głębią ze skały na skałę lub z błyskawiczną szybkością sunąć się po pochyłym zboczu. Mniej wprawni sportowcy posuwają się po równinie lub zadawalniają się zjeżdżaniem z gór bądźto na długich saneczkach, zwanych *bobsleigh* i przeznaczonych do jazdy kilku osób spodem, bądź też na jednoosobowych *toboggan* i *luge* (luż), kierowanie którymi wymaga jednak zręczności i wprawy.

Lecz tem nie ogranicza się całokształt imprez sportowych. Rozmaitość tu jest znaczna i wysoce pociągająca. Wystarczy nadmienić: popisy estetycznych ruchów łyżwiarzy na śliskiej tafli lodowej, figurową jazdę pań i mężczyzn lub parami, konne biegi na nartach, wyprawy turystyczne na wysokie góry, strzeliste turnie, lodowce i wiele — wiele podobnych wycieczek, wymagających zręczności, hartu i przytomności umysłu.

Alę nie tylko ludzie dostatni korzystają z powabów i atrakcyjności śniegowych pól i skutych lodem jezior, zima roztacza swój czar i na maluczkich, na dzieci miejskiej biedoty. Ci nie mają udoskonalonego sprzętu sportowego i kontentują się improwizowanym inwentarzem. Saneczki sklecone z rozbitej paki sklepowej, łyżwa starego systemu ze śrubą, wkręcaną do obcasu, nawet wytarte podeszwy służą do ślizgania się na zamrożonych kałużach i wyslizganych chodnikach. A wytaczanie balwana ze śniegu i boje kulami śnieżnymi czyż mało dostarczają emocji i rozkoszy?

Wpływ dobroczynny sportów zimowych jest olbrzymi tak w sferze duchowej, jak i fizycznej młodzieży. Tu się kształci wola, odwaga, spostrzegawczość; tu zanikają namiętności i depresja duchowa, rozwija się zdolność panowania nad samym sobą, zaradczość w trudnych sytuacjach.

W dziedzinie kultury ciała czołowe miejsce zajmuje doskonały wpływ na system nerwowy — ruchowy i czuciowy, oraz na mięśnie. Dzięki prawidłowemu od-

dychaniu, płuca rozwijają się i wzmacniają w znacznym stopniu; toż samo odnosi się i do innych narządów wewnętrznych. Sporty te uprawiają się w idealnie czystym powietrzu i to w porze, kiedy inne ćwiczenia są niedostępne. A jednak czarowna zima niezawsze bywa łaskawą dla swych wielbicieli. Przedewszystkiem turystyka przedstawia nieraz groźne niebezpieczeństwa, a to wobec niespodziewanych lawin, nawisów, szczelin skalnych i zamaskowanych śniegiem przepaści.

Gołoledź w mieście powoduje nieraz złamanie kończyn przechodniów, co połączone jest z dłuższą niezdolnością do pracy; czasem też i konie na śliskiej jezdni łamią nogi.

Najważniejszą ujemną stroną chłodnej pory roku są przeziębienia i połączone z nimi choroby.

Jakkolwiek klasyczną porą przeziębień jest okres szarugi jesiennej, ale i potężne mrozy zimowe wchodzą tu w grę.

Czemże jest samo przeziębienie?

Wyobraźmy sobie, iż intensywne zimno podziało na skórę, czy to w postaci zimnego powietrza, czy też ochłodzonych przedmiotów, np. bielizny, ubrania, albo promieniowania zimnej ściany. W tym razie pierwszym objawem będzie zwężenie naczyń krwionośnych skóry. taki efekt najwybitniej występuje pod wpływem wilgotnego chłodu. Rzecz jasna, że jeżeli naczynia zwężają się w jednej części ciała, to krew, w nich zawarta, odpływa do innych terytorjów, a więc do narządów wewnętrznych. Przepelniają się krwią błony śluzowe, wyściełające drogi oddechowe, przewód pokarmowy, nerki i t. d.

Na błonach śluzowych stale przebywa moc różnego rodzaju zarazków, drobnoustrojów chorobotwórczych, a wspomniane przekrwienie błon śluzowych stwarza grunt nader korzystny dla ich rozmnażania się i opanowania ustroju.

Uwagi godnym jest fakt, iż naczynia krwionośne kurczą się, t. j. zwężają swe światło, nietylko na tym obszarze skóry, gdzie podziało zimno; akcja wpływu termicznego zatacza zwykle szersze kręgi. Np. wiele osób po przyłożeniu kawałka lodu na małej stosunkowo przestrzeni, dostaje gęsiej skóry, tego swoistego odruchu oziębienia, na całym ciele. Tem się tłumaczy katar po zmarznięciu w ręce, a zwłaszcza w nogi, które należy trzymać w ciepłe w chłodnej porze roku.

Ale szkodliwe następstwa chłodu dają się obserwować tylko przy dłuższem działaniu tego czynnika. Natomiast wpływy krótkotrwałe nie pociągają za sobą złych następstw, gdyż po ustąpieniu oziębienia zjawia się odczyn, czyli reakcja, polegająca na rozszerzeniu tych samych naczyń skóry, które przed chwilą były zwężone, a tem samem i na odciążeniu przekrwionych uprzednio narządów wewnętrznych. Przytem im bodziec termiczny, w danym razie chłód, był silniejszy i im krócej trwał, tem odczyn będzie znaczniejszy. Taka zmiana w rozmieszczeniu krwi nie daje możności zarazkom rozmnożyć się w narządach wewnętrznych. W szeregu tych zjawisk dość jest wspomnieć o zimnym natrysku lub krótkiej zimnej kąpieli, po których zwykle następuje ożywienie krążenia obwodowego, często z zaczerwienieniem skóry.

Powróćmy jednak do tych przypadków, gdy drażnik cieplny w postaci przejmującego chłodu trwa długo. Wtedy drobnoustroje chorobotwórcze (bakterje), mając możność rozmnożyć się na błonach śluzowych, powodują rozmaite zaśląbnienia. Wszelako doświadczenie poucza nas, że przeziębienie często nie wywołuje choroby, a to bywa w tych razach, kiedy organizm jest zahartowany lub od natury posiada znaczne siły obronne, co nazywamy odpornością. W walce bowiem z zarazkami,

które już wstąpiły do naszego wnętrza, nie jesteśmy pozbawieni sojuszników, których stale we krwi nosimy, a temi są: 1) aleksyny czyli cytazy — substancje zabijające wiele gatunków bakteryj, 2) fagocyty — białe ciała krwi, pożerające bakterje, 3) bakterjolizyny — zazcyny, dzięki którym ciała tych szkodliwych mikroskopijnych tworów rozpuszczają się w osoczu krwi, tak jak cukier rozpuszcza się w wodzie; wreszcie 4) antitoksyny — produkty, które, łącząc się chemicznie z jadami, wytwarzanymi przez chorobotwórcze bakterje (toksinami), zobojętniają owe jady, t. j. robią je nieszkodliwymi. Przemoczone obuwie, przepojona deszczem lub potem bielizna, o ile wysychają na ciele, mogą łatwo stać się źródłem przeziębienia, ponieważ przy parowaniu plynów pochłania się wielką ilość ciepła i następuje znaczny spadek temperatury. Tak przy przechowywaniu wody w porowatych naczyniach glinianych, przesączająca się woda zwilża całą zewnętrzną powierzchnię naczynia i utrzymuje plyn w naczyniu chłodnym nawet podczas największych upałów.

Z chorób, które niezmiernie mocnymi więzami związane są z wilgotnym i mroźnym okresem, następującym po pożegnalnym uśmiechu „babiego lata”, nabiera przedewszystkiem ostrej aktualności choroba zwana grypą, czyli influenżą.

Szerzy się ona jużto w postaci choroby nagminnej, czyli epidemji, porażając znaczną ilość ludzi w danej miejscowości przebywających, jużto roztaczając swój zwycięski pochód w pewnej połaci kraju na czas nieograniczony, a wtedy mówimy nie o epidemicznym, ale o endemicznym zasięgu choroby. Jakże są objawy grypy?

Poszczególne epidemje następują nam rozmaite odchylenia od typowego przebiegu, których sprowadzenie do wspólnego mianownika jest zadaniem dość trudnem. Wtłaczaniu w ciasne ramy szematu przeskadzają różnice, zależne od wrodzonych lub nabytych fizycznych cech osobnika, od większej lub mniejszej złośliwości epidemji, od okresu schorzenia lub licznych powikłań. Potrzebny jest podział grypy na kilka zasadniczych form. Głównych form mamy trzy.

A więc najczęstsza forma *kataralna* posiada przedewszystkiem cechy stanu zapalnego dróg oddechowych. Pojawiają się kolejno wspomniane: katar błony nosowej, potem katar tchawicy, oskrzeli od grubych do najdrobniejszych, pęcherzyków płucnych i opłucnej.

Postać *nerwowa* objawia się dotkliwym bólem głowy, bólem krzyżów, rozmaitemi nerwobólami, stanem niepokoju, mogącym przejść w majaczenie, a czasem bezwładem, przemijającym paralizem.

Wreszcie trzecia forma *żołądkowo-jelitowa* zaznacza się kompletnym brakiem apetytu, język staje się blade-sinawym, błyszczącym, jakby porcelanowym. Bóle żołądka i kiszek, wymioty, biegunka.

W każdej z tych form temperatura ciała podnosi się, dochodząc czasem 39 lub 40 stopni.

Choroba udziela się zdrowym przez powietrze, głównie zaś przez kichanie i kaszel chorego. Nie należy więc przybliżać swej twarzy do twarzy chorego nawet podczas rozmowy.

Przeziębienie stwarza grunt nader podatny do zakażenia, a więc ciepłe mieszkanie, odpowiednia do aury odzież, unikanie przemoczenia nóg, a tem bardziej wysychania przemoczonego obuwia na nogach są konieczne. Nie należy podczas epidemji bywać w miejscach, gdzie się zbiera tłum ludzi (teatry, kina i t. p.).

Pamiętać należy, że kuracja rozwijającej się choroby najskuteczniejszą jest w samym jej początku. Dlatego też przy pierwszych symptomach należy zasięgnąć porady lekarza.

Dr. Kazimierz Połtowicz.

# Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

## PRZY ŻŁOBKU

W cichym nastroju grudniowego wieczora pograżona była świątynia. Samotnie, tajemniczo, w półmroku majaczyły ołtarze. Z jednej tylko kaplicy biła potężna luna światła. Ogromna lampa, ukryta pod sceną, oświetlała obraz z czasów i krain dalekich: — żłobek betleemski. Na tle szopki, na tle palm, rysowały się postacie Najśw. Rodziny, pasterzy i królów z darami.

Przy żłobku w kaplicy skupiła się pobożna rzesza ciekawych, przeważnie dzieci. Małe paluszki wysuwały się razporaz nad głowy patrzących, by wskazać koleżankom czy rodzeństwu najbardziej charakterystyczne figury: pasterza, dźwigającego barana na plecach, królów w koronach i płaszczach ze złota, psa owczarka, co zdawał się szczekać zajadłe na wielbłądy. Najczęściej atoli małe, bystre oczęta biegly ku środkowi sceny, podziwiając wśród cichego szeptu Boskie Dzieciątko w żłobku.

Za oczkami dziecięcymi podążyły oczy moje i serce i dusza, by spocząć przy żłobku Zbawiciela.

Rokrocznie go widuję, tu i tam, w różnych świątyniach. Zawsze nań patrzę z uwielbieniem zachwycone oczy dziecięce, rozradowane umileniem i czułością spojżenia kobiet, osnute zadumą i powagą źrenice męskie. Cała ta scena żłobka betleemskiego, ukołysana śpiewem aniołów, powiewnym szumem ich skrzydeł, ozłocona blaskiem cudownej gwiazdy, rozlewa na dusze widzów — prostaczków i uczonych — jakiś nieopowiedziany czar poezji, płynącej z nieba i ziemi.

Szerokim rzeszom to wystarcza. Widzą poezję, niecodziennosc kontrastów i zjawisk, wspaniałość niebios obok ubóstwa stajenki, królów obok pasterzy, adorujących Boską Dziecinę, i szczęśliwi powracają do domów. Nie szukają przy żłobku nic więcej dla swych serc. Zapełnili oczy cudownym widokiem i dość. O posilniejszy, treściwszy pokarm dla swych dusz, któryby mogli znaleźć przy żłobku Zbawiciela, zwykle nie dbają. A przecież on tam jest... Złożony wszechmocną prawicą Bożą dla tych, co rozmyślać umieją.

Oprócz bowiem poezji żłobka, tai się jeszcze rzeczywistość żłobka: — Ubóstwo, posunięte do ostateczności, nazywanej nędzą...

Jakżeż biedni, zaiste, byli ci ludzie, którzy w chwili przyścia na świat dziecięcia, nie mieli dachu nad głową, nie mieli kołyski dla nowonarodzonego, nie posiadali rzeczy najkonieczniejszych, spotykanych nawet u nędzarzy! Gdy się to podziwia, ozłoczone blaskami gwiazdy, wówczas tak łatwo zapomnieć o przeciwniej stronie medalu, że ubóstwo takie musiało boleć, musiało być okropnym ciężarem dla serc tych dwojga świętych ludzi. Przecież i oni byli z ciała i krwi, wiedzieli, że chwila narodzin się zbliża i chcieli spocząć bodaj w gospodzie, zajezdnym domu... Ale w domu, po ludzku i w gronie ludzi. Obchodzili całą mięścinę, z jakimże trudem i męką dla brzemiennej Rodzicielki, a nie znalazłszy nigdzie zrozumienia, nigdzie przytułku, zamieszkali tu na noc — bezdomni nędzarze...

Podziwiamy dwoje świętych, adorujących Boskie Dzieciątko, a nie widzimy tych kilkudziesięciu, czy nawet kilkuset snobów bez serca, samolubów bez iskierek ludzkiej litości, dla których brzęk denarów rzymskich zagłuszał wszystko. Pieniądz znaczył dla nich więcej, niż człowiek, bliźni, potrzebujący pomocy w takiej chwili. Przecież betleemscy właściciele domów nie byli ślepi. Widzieli, kto ich prosi o przytułek. Ale jak proszących przyjąć pod swój dach?! To ludzie ubodzy, nie zapłacą za nocleg tyle, ile chciwość umie podyktować!

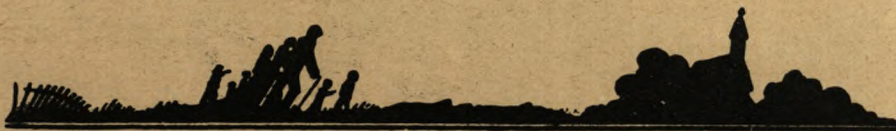
„Miejsca nie było dla tych trojga!” — stwierdza ewangelista. Nie było miejsca wśród ludzi-potworów, toteż Syn Boży udał się w gościnę do szopy bydłowej. I tam znalazł przytułek.

Jak tę scenę łatwo przenieść w wieki pierwszego wiek dwudziesty chrystjanizmu! Dziś każde niemal miasto może być takim Betleem, gdzie jedno, dwoje, troje ludzi szuka dla siebie przytułku, noclegu, obuwia, ubrania, pracy, chleba. Szuka serc, umiających bodaj litość okazać niedoli, jeśli już ich nie stać na wsparcie nędzy. Przecież bezrobotni, bezdomni, żyjący z jałmużny, są tak samo ludźmi, jak wszyscy inni, którzy mają pracę, dach nad głową i swój ciepły kąć rodzinny. Przecież oni, tego wszystkiego pozbawieni, cierpią strasznie, cierpią fizycznie i moralnie, jak robak miażdżony stopą losu.

Podziwiamy, chwalimy pasterzy, a zwłaszcza królów za to, że pośpieszyli do żłobka z darami. Podążyli łyzy otrzeć z rzes Bogarodzicielki, którą musiało to smucić niewymownie i boleć, tak iż głęboko zachowała w sercu swoim pamięć żłobka w Betleem i niegościnnosc mieszczan. Nie skarżyła się na nich, ani potępiała, ale tem niemniej przekazała w swych wspomnieniach pod piórem św. Łukasza sam fakt, odzywający się głośnym echem w sercu każdego człowieka. Nie mogli widzieć w Niej Bogarodzicy Dziewicy, Bogiem sławionej, to prawda, ale przecież nie Bóg żądał ich pomocy, jak dziś nie żąda pomocy naszej, tylko — i wtedy i dziś — prosi o pomoc człowiek. A człowiek człowiekowi przyjszć winien z pomocą! Tymczasem betleemici odmówili.

Zaiste! Przy żłobku jasno widać tę prawdę, że dziś nikt zamożniejszy nie powinienby wpierw zasiąść do wieczerzy wigilijnej, zanim nie otrze choć jednej łyzy sierocej bezdomnych, zapomnianych, opuszczonych. Nikt nie powinienby wpierw zbliżyć się do żłobka, zanim nie usłucha w sercu swem głosu Anioła. Zwiastun niebieski ogłasza radość wielką, ale mówi przytem o dziecinie, pozbawionej poduszeczki i kołyski. Jakby mówił: „Idźcie do Betleem, utulcie w płaczu niemowlę, otrzyście łyzy matki strapionej, usuńcie smutek bezradnego, biednego Opiekuna. A wtedy w sercach uderzy wam potężny dzwon wesela. Zagra w duszy waszej radosny dzwon „Gloria in excelsis!”

Jan Czar.



# BIBLIOTEKA NARODOWA — ŚPICHRZEM TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

*W pyle ksiąg starych mieszka mądrość wielka,  
Co niejedną myśl zbudzi drzemiącą w uśpieniu  
I da chwile zapomnień, jak pocieszycielka.  
Krzyżując rzeczywistość, ukryje nam w cieniu.  
Wyłoni stare światy ludzi i zdarzenia,  
Niedokończone myśli... nieziszczone marzenia.*

(Stare księgi J. W. Hel.)

Nieraz zdarzało mi się usłyszeć w towarzystwie ludzi inteligentnych, których zagadnąłem co to jest Biblioteka Narodowa, odpowiedź: „że to jest przecież to samo co Muzeum Narodowe, no ten gmach w Al. 3 Maja”. Gdy im zaprzeczałem, robili mocno zdziwione miny i prosili, by ich szerzej objaśnić. Oczywiście czempredzej wyprowadzałem ich z błędu, a ten i ów znajomy zaczął się interesować księgozbiorem, który nosi nazwę Biblioteki Narodowej. Błędne łączenie 2-ch zasłużonych (każda w swoim zakresie) instytucyj powtarza się

dawnej „apteczki” na biblioteki i gromadziły na nich, prawda, z przewagą francuskich, ale książki — istniał „pęd do książki”. Lubiano książkę, poszukiwano, ba ceniono nawet i oprawę piękną, prawie powszechnie, w tym to czasie żyli trzej zasłużeni bibliofile, bracia Załuscy, którzy, skąpiąc sobie i odmawiając wszystkiego, przez całe życie „wyławiali” tu i owdzie bezcenne zbiory i, wiążąc je w jedno, stworzyli pierwszą większą bibliotekę publiczną (1747 r.) Niestety, biblioteka ta zagarnięta potem przez Moskali, częściowo zniszczona, wywieziona została do Rosji, skąd tylko część jej książek wróciła. W wieku XIX powstają większe zbiory prywatne, zawsze z myślą udostępnienia ich publiczności i ofiarowania Narodowi, a więc Czartoryskich, a przede wszystkim Działyńskich w Kórniku i Ossolińskich we Lwowie, wreszcie Łubieński tworzy księgozbiór przy uniwersytecie (ten o tyle szczęśliwszy, że korzystała z niego młodzież uniwersytecka). Kiedy wybiła długo oczekiwana godzina niepodległości, jedną z pierwszych myśli, jaka zaprzętała młode państwo, było stworzenie biblioteki publicznej. Inicjatorem jej powstania jest wielki miłośnik książki, który, trzeba nawiasem dodać, jeszcze jako uczeń za oszczędzone groszaki tworzył „własną biblioteczkę”, a jest nim pan dyr. Stefan Demby, ra-



*Gmach przy ul. Rakowieckiej, gdzie mieści się część zbiorów B. Narodowej*

*Gmach „Bibl. Nar.” (d. pałac Tyszkiewiczów) na Krak. Przedmieściu — gdzie mieszczą się stare druki i rękopisy*

dość często. Swego czasu drukowano artykuły o Biblj. Narodowej, wydawane były specjalne publikacje — a mimo to szeroki ogół naszego społeczeństwa dotychczas mało albo zgoła wcale o tej instytucji nie wie.

Smutno jest pomyśleć, że w kraju, który ma bogatą przeszłość historyczną i pisarską, w kraju, który posiadał tytuł dziejopisów, wieszczów i pisarzy nieprzeciętnej miary, których utwory tłumaczyli obcy — jest tak małe zainteresowanie książką, a zwłaszcza książką dawną, która przetrwała wszelkie złe koleje (jakię przechodziło nasze Państwo) i triumfuje teraz pod troskliwą opieką na półkach księgozbioru, stanowiącego własność narodową.

W wieku XVIII, w wieku oświecenia, kiedy to, jak pisał biskup Krasicki w jednym z wierszy, nawet najbardziej próżne modnisie kazały przerabiać półki



sowy i zasłużony bibliofil. Dekret Prezydenta z 24 lutego 1928 r. określił cele i czynności Bibl. Narodowej; właściwe jej otwarcie nastąpiło 30 listopada 1930 r. Marszałek Józef Piłsudski (którego imię nosi dziś Bibl. Narodowa), rozumiejąc doniosłość stworzenia takiej instytucji, przeznaczył 2 miliony złotych z b. skarbu Narodowego, która to suma stanowiła finansowe podwaliny Biblioteki. W skład zbiorów B. Narod. (która posiada druki, inkunabuły, rękopisy, autografy i sztychy) weszła przedewszystkiem biblioteka rapperswilska, część b. bibl. Załuskich, a dalej bogate zbiory z zapisu p. Adr. Ory, 50 tys. tomów bibl. horynieckiej ksks. Ponińskich, 35 tys. tom. bibl. Seweryna Smolikowskiego, 10 tys. tom. z bibl. b. min. Zawadzkiego, 40 tys. tom. z bibl. wilanowskiej, 19 tys. sztychów i rękopisów (depozyt), a poza tym wpływają mniejsze i większe zapisy na rzecz Bibl. Narodowej. Biblioteka posiada następujące działy: 1) starych druków, 2) rękopisów, 3) graficzny, 4) kartograficzny, 5) muzyczny, 6) ogólny (nowe druki od 1801).

Biblioteka początkowo musiała się borykać z pewnymi trudnościami, zbiory jej bowiem rozrzucone były w paru miejscach.

Dzięki inicjatywie i energii dyr. Dembego i dzielnej a wytrwałej pracy współpracowników B. N., zdołano zgrupować i przenieść „rozrzucone” zbiory do użyczonego w części gmachu biblioteki W. Sz. Handlowej przy ul. Rakowieckiej. W roku 1934 Bibl. Narod. wydzierżawiła piękny pałac (Tyszkiewiczów) Potockich na Krak. Przedm., gdzie, w 58 salach, rozmieszczono cenne, stare książki, nowe (od 1801) pozostały na Rakowieckiej.

Głównym celem Bibl. Narodowej „jest gromadzenie całokształtu produkcji umysłowej Narodu polskiego (wszelkie wydawnictwa drukiem), jakoteż dzieła obce w jakikolwiek sposób związane z Polską”. Dzięki przymusowemu egzemplarzowi, nie się „nie wymknie” uwadze Biblioteki. Biblioteka prowadzi szereg prac bibliotekarskich i bibliofilskich (Instytut Bibliograficzny), dalej wymianę wydawnictw zagranicznych i t. p.

Biblioteka, chcąc zapoznać szeroki ogół z rodzimą twórczością i rozbudzać zamiłowanie do książki, tworzy szereg ciekawych wystaw, o których, jak: „Wystawa Rękopisów” i „Mickiewiczowska” pisaliśmy na tem miejscu.

Pracownie Bibl. Narodowej na Rakowieckiej i na Krak. Przedm. czynne są dla badaczy naukowych, studentów i interesujących się osób (po uprzednim przeprowadzeniu formalności). Niepodobna w krótkim artykule opisać i scharakteryzować szczegółowo bogatych zbiorów B. Nar. — ale tu przyznać trzeba, że zasłużony jej Gospodarz jak i współpracownicy włożyli moc pracy, chcąc ją udostępnić publiczności a zachować potomności.

Biblioteka Narodowa, to dziś wielki śpichrz, który gromadzi złote ziarno: myśli, twórczości i wiedzy. Ziarno — rodzi ziarno, myśl — rodzi myśl. Ziarno myśli — zasiane ręką pokoleń, które odeszły, przechowane starannie przez ludzi, umiejących o nie dbać, zakiełkuje na nowo i wdą plon obfity, który ozdobi bogatą niwę ducha i stanie się pożyteczny dla Narodu.

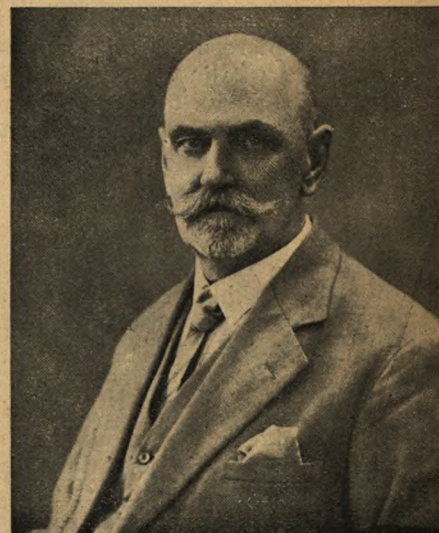
Wszyscy zatem znać musimy największą Zbiornicę twórczości narodowej, przechowującą wiekowe skarby ducha polskiego — musimy się interesować jedną z najpożyteczniejszych instytucji kulturalnych, stanowiącą naszą wspólną własność — Biblioteką Narodową.

Stańmy się Narodem powszechnie miłującym książkę!

Jerzy W. Helbich.



Pracownia naukowa „Bibl. Narodowej” w gmachu przy ul. Rakowieckiej



Inicjator i twórca „Biblioteki Narodowej” p. dyr. St. Demby

Jedna z sal „Biblioteki Narodowej” w gmachu przy ul. Rakowieckiej  
Fot. H. Poddębski



# ZAGADNIENIE DOBORU MAŁŻEŃSKIEGO

Tętno życia katolickiego w Polsce poczyna być coraz żywsze. Pokazał to przebieg pierwszego „studjum” katolickiego, które z inicjatywy Ks. Prymasa odbyło się ostatnio w Poznaniu z udziałem wielu przodujących umysłów katolickich z całej Polski. Poczynamy narazie przechodzić do ofensywy, o której już nie od wczoraj się mówi w szeregach katolickich. Czas już najwyższy, by skończył się okres ciągłej „obrony” chrześcijaństwa. Kto się tylko broni, ten nigdy wygrać nie może. Nauka Boskiego Mistrza z Nazaretu nie jest „czcigodną tradycją”, lecz programem przebudowy całego życia jednostkowego i zbiorowego na wewnątrz i na zewnątrz. Program ten jest przedziwny, że po dziewiętnastu stuleciach realizacji nie stracił nic na aktualności — i choć — wbrew pesymistom twierdzimy to stanowczo — ludzkość w sumie jednak i na moralnym odcinku — mimo rozkładu ostatnich wieków — jednak naprzód postąpiła — program ten nadal jest tak daleki i nieosiągalny w swych celach ostatecznych, jak horyzont, który zawsze przed nami ucieka. Tylko — że tu jednak posuwamy się naprzód — wprawdzie w szpiralach, które raz idą w dół — raz w górę — i dopiero z dalszej perspektywy można postęp ocenić...

Nie ulega kwestji, że za nami jest okres chwilowego (chwila ta zresztą była nieco długa) — cofania się na odcinku najistotniejszym, którym jest postęp moralny. Coraz powszechniej nawet niechrześcijanie rozumieć poczynają, że bez postępu moralnego cała ta cudowna technika służyć będzie jedynie bardziej wyrafinowanemu bandytyzmowi — jednostek czy całych narodów, a radjosiłuchacz nie będzie nic szczęśliwszy od praojca jaskiniowca, o ile nie potrafi siebie samego opanować.

Nie bez powodu pierwsze „studjum” poświęcone było rodzinie. To jest niewątpliwy fundament całego gmachu kultury. Tu tworzy się nowe życie — tu rozwija się dusza dziecka. Kształtuje ją już w łonie matki każde wzruszenie, każda myśl, zła lub dobra. A potem wszystkie jej inklinacje, tęsknoty — cała treść duchowa — wszystko to tworzy się z przedziwa duchowego tej atmosfery, którą rodzice w domu wytwarzają. Późniejsze życie rozwija te ziarna tak lub inaczej, prostuje lub skrzywia — (częściej to ostatnie!). Lecz decydującą jest zawsze rzeczą klimat moralny pierwszych lat — a później także, nawet już dla dorosłych dzieci, atmosfera ich domu rodzicielskiego stanowi oparcie duchowe lub też czynnik rozstroju. W żadnej dziedzinie nie ujawnia się tak wyraźnie nasze powiązanie duchowe i odpowiedzialność moralna jednych za drugich, jak w życiu rodzinnym.

Z tego wszystkiego w naszym życiu codziennym nawet ludzie myślący i świadomi swych obowiązków aż nazbyt mało zdają sobie sprawę. Wychowanie dzieci traktuje się jako jedno z zadań, które odrobić trzeba. — Nawet tam, gdzie miłość rodzicielska dochodzi do największego napięcia, brak nam pełnego poczucia odpowiedzialności wobec Boga i Narodu za ukształtowanie tych młodych dusz.

Dotąd działały tu różne mechanizmy naturalne i społeczne: instynkty, tradycje, normy i obyczaje społeczne. Dziś wchodzimy w okres coraz bardziej świadomego życia. Coraz więcej dziedzin ulega t. zw. racjonalizacji, t. j. wprowadza się tam, gdzie panowały odruchy, przyzwyczajenia lub narzucane przez grupę społeczną sposoby postępowania — działalność planową, świadomą celu i metod.

Dla nas katolików, ten postęp jest bezwzględnie korzystny, choć niema bardziej racjonalnego, t. j. lepiej uzasadnionego i wypróbowanego sposobu życia jak etyka katolicka. Trudność jej leży tylko w tem, że wymaga ona ciągłej walki ze sobą samym. Lecz na to rady niema. Innej drogi postępu nikt nie wymyśli, bo prawa Boże nie dadzą się ominąć.

Rodzina musi również stać się przedmiotem daleko idącej racjonalizacji. Każdy katolik musi rozumieć jej głębszy sens, znać jej prawa i zadania w innym nieco zakresie niż pytania katechizmowe.

Tu pragniemy się zająć pokrótce kwestją, którą nazwać możnaby: fundamentem fundamentu. Chodzi nam o zagadnienie doboru rodziny.

Dopóki ludzie byli mało zindywidualizowani, dobór nie odgrywał jeszcze tak doniosłej roli. Im prymitywniejsze natury, tem łatwiej im się żyć ze sobą. Łącznikiem było dla małżonków współżycie płciowe i gospodarcze — wspólność trosk w chowaniu dzieci a z tego wyrastało przywiązanie wzajemne, które szcześnie zastępowało słabnącą więź pożądania, nazwanego zwykle niesłusznie miłością. Niesłusznie o tyle, że prawdziwa miłość szuka dobra drugiej strony, swego przedmiotu, a miłość płciowa pożąda tej drugiej osoby jako przedmiotu własnej przyjemności. Wprawdzie, jak wykazały nowsze badania nad idealizmem młodzieńczym, przeprowadzone przez prof. Szumana, pierwsza miłość młodzieńcza jest niezwykle idealistyczna i pociąg płciowy tkwi tu jeszcze głęboko pod całą warstwą wyższych dążeń — lecz w okresie doboru małżeństwa zwykle już ten idealizm młodzieńczy został przepalony budzącem się pożądaniem. I to pożądanie w miarę rozwoju cywilizacji i komplikowania się prymitywnej niegdyś struktury duchowej człowieka poczęło coraz więcej się indywidualizować. Człowiek pierwotny potrzebował jedynie zaspokojenia popędu. — Popęd ten wprawdzie nawet u ludzi prymitywnych szuka sobie pewnych obiektów dla siebie odpowiednich, lecz naogół możliwość wyboru była duża. Dopiero człowiek o złożonej strukturze doбира bardziej indywidualnie — dochodzi do tego, że długo musi szukać, aż znajdzie „swój typ”. Wtedy rodzi się namiętność. „Ta — albo żadna”. „Ten — albo żaden”. Oto charakterystyczne nastawienie tej fazy rozwoju. Na tem podłożu wyrasta przeświadczenie, że „śmierć i żona od Boga przeznaczona”. Badania socjologiczne wykazały, że ta zasada doboru na podstawie osobistego pożądania, czyli (niesłusznie) t. zw. miłości — dopiero obowiązuje jako uznana norma społeczna od ubiegłego stulecia. Namiętności indywidualne są wprawdzie rzeczą tak dawną, jak ludzka pamięć sięga. Lecz dobór małżeński opierał się na innych zasadach. Nie będziemy tu już sięgać czasów dawnych — epoki porywania żon, później kupna. Odkąd kupno zastąpione zostało przez posag — podniosła się pozycja kobiety — lecz z drugiej strony to uposażenie często stało się celem głównym. Małżeństwo dla posagu — to i dziś jeszcze zjawisko bardzo częste — choć przez opinię naogół potępione — zresztą nie wszędzie. Niegdyś uchodziło to za wielki sukces: „ożenił się dobrze”... bo wziął posag. O wartości samej kobiety mówiło i myślało się jaknajmniej.

Dobrze się ożenić — znaczyło wziąć posag. Dobrze wyjść zamaż — zdobyć męża zamożnego z dobrą pozycją. „Małżeństwo z miłości” uważano raczej za do-



wód lekkomyślności. Kojarzeniem tych związków zajmowały się szczególnie ciotki... Zawodowi pośrednicy dopiero w ostatnich czasach weszli w modę. O ile jeszcze dalej wstecz sięgniemy — natrafimy na normę doboru na zasadzie kombinacji rodowych — u warstwy górnej. Wieś i dziś jeszcze kieruje się przedewszystkiem motywami materialnymi. Jaś ma trzy morgi i konia — Kasia dwie morgi i krowę — morgi graniczą ze sobą, więc rzecz najwłaściwsza, by się Jasio z Kasią pobrali. Kasia może woli kogo innego, ale — rozsądek zwycięża najczęściej nad uczuciami.

Wśród inteligencji panują dziś już wyraźne normy doboru na podstawie osobistych skłonności. Małżeństwo dla posagu dziś już spotyka się naogół z dezaprobatą. Mówi się z ironją — „ożenił się dla pieniędzy”. Na wsi przeciwnie stwierdza się to dziś jeszcze z uznaniem, że „byli tacy rozsądni” — pobrali się „wedle stanu”. Widzimy tu wyraźną różnicę faz rozwoju.

Czy jednak „ów dobór z miłości” jest rękojmą szczęścia? Stwierdzić trzeba, że dawne, przez ciotki i „swatów” kojarzone małżeństwa z rozsądku były o wiele trwalsze i mimo wszystko szczęśliwsze. Jest to zrozumiałe. Skoro żadna ze stron nie szukała tu zaspokojenia namiętności, lecz — szczególnie kobieta — pojmowała małżeństwo jako powołanie i obowiązek — nie było też rozczarowań, które z konieczności psychologicznej nastąpić muszą w każdym „małżeństwie z miłości” — gdy już namiętność się wypali — a w szarzyźnie dnia ujawni się różnica charakterów i upodobań. Dodajmy do tego zupełny brak głębszej kultury duchowej u ludzi dzisiejszych, nastawionych na użycie, a nie na pracę nad sobą i opanowywanie odruchów — a zrozumiemy łatwo dzisiejszy rozstrój i rozkład rodziny (pomijając inne współczynniki, których tu już omawiać nie możemy).

Czy należy z tego wyciągnąć wniosek, że lepiej byłoby wrócić do dawnych systemów? Albo może wskrzesić te targowiska, na które rodzice wyprowadzali swe odpowiednio ponętnie ubrane, a raczej rozebrane „córeczki na wydaniu” — niczem wieśniak różne czworonogi?... Ten dobór pod kątem widzenia jakże rychło mijających wdzięków, dokonywujący się przytem wśród podniecających zmysły tonów muzyki tanecznej i przy niemałej pomocy oglupiającego napoju... łącznie z wysokością dopłaty dla szczęśliwego nabywcy (t. zw. posag), który stanowi o „powodzeniu”, czyli o kursie, po którym daną pannę notowano na giełdzie małżeńskiej — to instytucja przeżyta, której podtrzymanie musiałoby gwałtownie przyspieszyć rozkład rodziny. Dziś młodzież usamodzielnia się. Panny dzisiejsze chodzą same na

zabawy. — Ma to swoje strony ujemne, gdyż niebezpieczeństwa wzrosły — zwłaszcza, że zabawy traktuje się już dziś nie jako targowisko małżeńskie, lecz jako rozrywkę po pracy. Zepsucie jest może większe — ale i więcej samodzielności. Moralność stała się bardziej świadoma. Mamy wrażenie, że dawne, dobrze edukowane i pilnowane „panny na wydaniu” byłyby łatwiej naogół nadużywały swobody, niż przyzwyczajone do niej, pracujące zarobkowo dziewczęta dzisiejsze, które mężczyźni poznają nie jedynie jako danserów, czy „konkurentów”, lecz najpierw jako kolegów — czy to w biurze lub fabryce, czy na studjach. I jest to poznanie wcale gruntowne i wolne od dekoracyjnych parawanów konwenansu. To daje pewne zahartowanie — uczy patrzeć krytycznie i samodzielnie wybierać. Niebezpieczeństwo leży w tem, że grozi to powstawaniem dziś tak propagowanych związków próbnych czy „koleżeńskich” małżeństw. Zapobiec może temu tylko jedno: głębsze niż dotąd uświadomienie moralno-religijne, które da pełnię zrozumienia tego, jak wielkim skarbem jest dziewictwo — a jaką świętością życie małżeńskie. To uodpornienie moralne musi dotyczyć w równym stopniu młodzieży męskiej i żeńskiej. Era podwójnej moralności skończyła się. Dzisiejsze kobiety nie są już temi potulnymi „trusiami”, które uważają, że „on nie może inaczej”, a czystość obowiązuje tylko kobiety. Następuje coraz wyraźniejszy rozdział — właśnie w tej dziedzinie — na tych, którzy chcą przyjąć Ewangelię i tych, którzy ją odrzucili.

Na tle tych przemian rysuje się nowa zasada doboru: już nie kombinacja rodowa czy pieniężna (z żoną jako mniej lub więcej przykrym dodatkiem do posagu), nie łapanie męża na wędzidła zmysłów w taneczno-alkoholowej atmosferze sal balowych — lecz dobór oparty na wspólności dążeń i upodobań, a przedewszystkiem ideologii. Doświadczenie pokazało, że małżeństwa, zrodzone z pierwszego zbliżenia na gruncie wspólnoty przekonań — a w pewnej mierze i zainteresowań zawodowych (jak np. małżeństwa lekarzy z lekarkami) — przyczem zmysłowe pożądanie zjawiało się dopiero później jako rzecz w tym wypadku konieczną, lecz wtórna — dają gwarancję nie tylko największej trwałości i szczęścia, lecz przedewszystkiem tworzą one taką atmosferę domową, w której mogą się zdrowo rozwijać dusze dziecięce. Dopiero w tym sensie pojęta, głębiej niż na chwilowych wzruszeniach oparta miłość może stać się normą zdrową doboru i fundamentem, na którym zbuduje się świadoma swych tak niezmiernie odpowiedzialnych zadań rodzina chrześcijańska.

*Dr. Andrzej Niesiołowski.*



Budzące się niemowlę

JÓZEF BIRKENMAJER

# ŚPIĄCA KRÓLEWNA

(Bajka dla starszych).

## I.

Panna Lucia „miewała czas” dopiero od godziny dwunastej w południe, niekiedy dopiero od pierwszej lub wpół do drugiej. Albowiem nigdy wcześniej nie wstawała z łóżka.

A zdarzyło się, że pan Ludwik, młody i przystojny właściciel ziemski, miał — akurat tego dnia — czas tylko do południa. Popołudniu miał wracać do swego majątku; leżącego ponoś za górami i lasami, a w każdym razie gdzieś poza wielkiem błotem, które ciągnęło się od samych rogatek miejskich aż hen wdał nieokreśloną. Nie mógł się zatrzymać dłużej ani godzinki. Cho- dziło o jakieś ważne interesy, wymagające jego obecności. Do miasta miał powrócić dopiero za dwa miesiące.

Ale przedtem, właśnie dnia tego, miał się oświadczyć o rękę panny Lucii. Tak sobie zawczasu uplanował. Byłby może zawczasu plan ten urzeczywistnił, gdyby nie to, że w domu państwa Ch... zawsze bywało dużo osób, wobec czego niepodobieństwem było zostać sam na sam z panną Lucią. Conajgorsza, że w domu tym były aż cztery ciotki, stare panny, za- wistnie śledzące każdy krok siostrze- niicy.

Z jej spojrzeń, gestów, słów, niby to od niechcienia rzuconych, któremi odpowiadała na takie jego słowa, ge- sty i spojrzenia, p. Ludwik wiedział, że panna Lucia jest mu wzajemna. Ale któż może ręczyć, że uczucie to, nieumocnione obopólnym wyznaniem, przetrwa jeszcze dwa miesiące?... i to dwa miesiące niewidzenia się zupełnego!... Podobno panna Lucia ma też wyjechać na te dwa miesiące — i to aż na Rivierę! Czyż wtedy, wśród nowych wrażeń, wśród nowych ludzi, nie zapomni o wrażeniu, jakie na niej wywarł p. Ludwik?... Pisać listy? Trzebaby znać jej adres na Rivierze... bo posyłać je pod adresem domo- wym — to tyle, co dawać temat do różnych plotek aż nązbyt ciekawym ciotkom. Nie! Nie! trzeba się dziś rozmówić... Dziś albo nigdy!

Energicznym, dziarskim krokiem przeszedł schody, zatrzymał się przed pięknymi drzwiami na pierwszym piętrze. Zgrabnie przyglądził piękną czuprynę, poprawił kołnierzyk, mu- szał chusteczką lakierki, bystrem okiem — jak podczas brania miary u krawca — rzuci na przyprasowane spodnie, zlekka rozgarnął trzymane w rękę róże, aż wreszcie, odbywszy przed wiszącym w klatce schodowej wielkim lustrem generalną próbę

najczarowniejszych skinień i uśmiechów, przesłał swo- jemu odbiciu pocałunek ręką i zdecydował się zadzwonić. Dzwonek ten miał być pierwszą zapowiedzią naj- piękniejszego aktu w życiu pana Ludwika — aktu mi- łosnego szczęścia... Kurtyna — t. j. połowa drzwi — odchyliła się cicho. Ukazała się — głowa pokojówki.

— Czy zastałem pannę Lucynę? — zapytał pan Ludwik.

— Tak jest... panienka w domu — odpowiedziała służąca.

— Czy mogę... czy mogę... czy mogę być przyje- ty? — szukał słów pan Ludwik i zmieszał się, bo mu przyszło na myśl, że słowa jego podwójnie mają znacze- nie. Żeby więc postawić jaśniej sprawę i nie poddawać sobie (lub komuś) wątpliwości co do tego, czy oświad- czyni jego będą przyjęte, poprawił się:

— Czy mógłbym widzieć pannę Lucynę?

— W tej chwili jeszcze nie... chyba, że pan będzie łaskaw zaczekać.



W głowie pana Ludwika zrodziło się brzydkie przypuszczenie, że ktoś inny go uprzedził; boć chodziły pogłoski, że ojciec już komuś obiecał rękę Luci. Wiadomo do jakiej zazdrości i jakich niedorzecznych domysłów skłonni bywają ludzie zakochani, a do nich właśnie należał Ludwik. Przemógł się jednak i oświadczył:

— W takim razie zaczekam.

Służąca wpuściła go do saloniku, w którym tylekroć widywał się z panną Lucią. W domu całym było cicho. Ojciec poszedł już zrana na lustrację jednej ze swych fabryk, a ciotki o tej porze zbierały plotki po mieście, by mieć temat do rozmowy przy obiedzie. O jednym i drugim pan Ludwik wiedział od stróża; ta samotność była mu bardzo na rękę, a raczej byłaby na rękę, gdyby tu obok niego na kanapce siedziała panna Lucia. Ale jej nie było, a żaden szmer nie oznajmiał jej bytności w pokojach sąsiednich... Nie było rady! trzeba było czekać. Pan Ludwik obejrzał wszystkie albumy (w jednym znalazł fotografie Luci z lat młodszych, którą

skrzętnie natychmiast ukrył w portfelu), przyjrzał się wszystkim portretom dziadków i prababek, odbył przegląd wszystkich kwiatów w żardynierce, aż wreszcie, zatrzymawszy się dłużej przy jednym z okien, jał przyglądać się ruchowi ulicznemu. Wszystko to widział już tyle razy, że nie bawiło go to wcale, zwłaszcza że przejęty był wewnętrznym niepokojem, jakby tremą przed teatralnym występem, kiedy to człowiek wołałby już grać i choćby się wspanać, niż dłużyć chwile oczekiwania. A tu mu czekać kazano tak długo! Zegar na ratuszu wybił wpół do pierwszej. Pan Ludwik zaczął się niecierpliwić — i jakby niedowierzał zegarowi magistraickiemu, razporaz zerkał na zegarek. Tymczasem w domu jakby wymarło. Żeby choć szmer jakiś!

Było już trzy na pierwszą. Za dwadzieścia pięć minut odchodzi pociąg... Dłużej czekać nie można... Pan Ludwik zadzwonił na służącą.

— Czemu Zosia mówiła, że panienka jest w domu? — zagadnął burkliwie.

— A, bo jest w domu! — odpowiedziała spokojnie służąca.

— A czemu nigdzie nie słychać jej głosu? — indagował p. Ludwik.

— Bo moja panienka nigdy przez sen nie rozmawia.

— Daj spokój żartom! Czemu nie oznajmiłaś panience o mojem przybyciu?

— Bo pan nie kazał budzić panienki... i mówił, że zaczeka.

— Hm... prawda, mówiłem... ale nie wiedziałem o co chodzi. Więc p. Lucyna jeszcze nie wstała?

— Tak, proszę pana, jeszcze śpi.

Choć dowodzą filozofowie, że kto śpi, ten nie grzeszy, jednakże p. Ludwik miał za złe p. Luci owo spanie. Ten sen jej cichy i błogi — w którym może nawet o nim śniła, nie domyślając się jego bliskiej obecności — jakimże był dlań ciosem! Jakże on burzył i rujnował — jego sny własne, tak uroczył!... Prawda, że klin klinem się wybija, ale to się snów dotyczyć nie powinno... W głowie p. Ludwika brzęczał nieznośny refren starej piosenki: „Ja cię kocham, a ty śpisz?”

Do pierwszej brakło kilka minut. Nie było czasu na roztkliwienie się tem mniej na widzenie się z p. Lucyną, która przecie była kobietą i na ubranie się potrzebowała conajmniej trzech kwadransów, więc nawet na zbudzenie jej byłoby już za późno. Nie pozostało nic innego jak nakreślić parę słów na bilecie wizytowym, i, przekupiwszy Zosię kilkoma złotówkami, prosić ją, by bilet ten wraz z różami umieściła na toalecie p. Luci. W ten sposób obie przesyłki mogły uniknąć wścibskiego wzroku ciotek, które miałyby w dniu tym materjał na jedną jeszcze ploteczkę.

## II.

Panna Lucia obudziła się w różowym humorze. Przeciągnęła się rozkosznie, jakby ramiona wyciągała



do tych marzeń pięknych, rozwiewnych, które odlatywały od niej w tej chwili. Ziewnęła dwukrotnie, odsłaniając dwa rzędy ślicznych, białych ząbków, ukrytych — jak perełki — poza konchą warg. Otworzyła oczki raz i drugi — niby na próbę — i znów na dłuższą chwilę pograżyła się w półdrzemce. Wreszcie powieki jej zdecydowały się na całkowite rozemknięcie — i jasne, błyszczące, wyspane oczęta spojrzwały pogodnie na świat cały. Pierwszą rzeczą, którą dostrzegła, był bukiet pięknych róż, stojący na toaletce i siejący woń przecudną, upajającą. Może to one były powodem, że p. Lucia spała tak długo... Róż tych wczoraj tu nie było — więc chyba je dzisiaj ktoś przyniósł. Ale kto?...

Zadzwoiła na służącą. Ta po chwili ukazała się w drzwiach, niosąc tacę ze śniadaniem.

— Kto przyniósł te róże? Skąd się tu wzięły?

— Ano, proszę jaśnie panienci, był p. Ludwik i chciał się z panią widzieć.

— Czemuś go nie prosiła? Czy już odszedł?

— Tak! odjechał już kwadrans temu, może i więcej.

— Czemuś go nie prosiła, żeby był łaskaw zacząć?

— Toć pan Ludwik czekał godzinę, ale panienka spała.

— Czemuś mnie nie obudziła?

— Bo p. Ludwik nie kazał panienki budzić. A jechać musiał na kolej, więc czekać nie mógł.

— Dobrze, możesz odejść... ale powinnaś była pana zatrzymać, albo mnie obudzić — burknęła p. Lucia, nadasana na dobre.

Zosia wiedziała, że każde obudzenie panienki nie w porę budziło zawsze objawy złego humoru. Pierwszy raz jednak zdarzyło się, że panienka gniewała się o to, iż jej nie zbudzono.

P. Lucia, wyprawiając czempredzej Zosię, miała w tem cel pewien: nie chciała, by pokojówka wyczytała z jej twarzy nastrój wywołany odwiedzinami Ludwika o tak wczesnej porze i — i tym bukietem. Zostawszy sama, pośpiesznie wdziała szlafroczyk i pantofle i pobiegła ku różom, na których, niby biały motyl, usadowił się mały bilecik. Odczytała go prędko i do ust przycisnęła.

— Nareszcie! — krzyknęła, podskakując z radości.

Ubrała się skwapliwie, tak skwapliwie, jak się jej dotąd nigdy nie zdarzało — i wybiegła na miasto, nawet nie zjadłszy śniadania. Dopadła dorożki, kazała się wieźć na pocztę co koń wyskoczy. Poczta była zaraz na drugiej ulicy i można było do niej dojść piechotą, ale widocznie p. Luci zależało na pośpiechu, skoro, dojechawszy przed bramę pocztową, nawet nie czekała reszty z 5 złotych od dorożkarza i popędziła do okienka, przy którym, jak zwykle stał już długi ogonek. Widząc ten zator, p. Lucia kiwnęła na znajomego tragarza, który nieraz nosił paki ze stacji do fabryki jej ojca. Dostawszy dzięki niemu blankiet, napisała na tymże słów parę; wręczyła skrypt tragarzowi, załączając 10 zł. i mówiąc, że telegram jest pilny i że reszty nie potrzeba oddawać. Dawszy coś jeszcze tragarzowi za fatywę, powróciła do domu, znacznie uspokojona, jakgdyby wyrzuciła nie 20 zł., ale jakiś kamień ciężący jej na sercu. Ledwo weszła do domu, przywitała ją kwaśno ciocia Helena:

— Gdzie to się szwendasz? Czemuś zapomniała, że na obiedzie ma być p. Anastazy?

— Wielka mi rzecz! Albo to jestem mu na co do tego obiadu potrzebna? Chyba że mnie samą też zjeść zamierza! — skrzywiła się p. Lucia.

— Nie bój się, nie zje cię, głupia!... chce ci się tylko oświadczyć — szepnęła, dobrze o wszystkim poinformowana ciocia.

— Też mu się zachciewa! — zaśmiała się Lucia.

— Tatusz mu bardzo rad... że będzie ktoś co się zna na interesach fabrycznych... a ciocia Ernestynka, Joasia i Kostusia też mu są bardzo rade... i ja też.

— To niech ciocia sama za niego wyjdzie; ja, gdy mi się ta ropucha oświadczy, to wyjdę... ale z pokoju! — i chcąc widocznie zademonstrować, jak to uczyni, wyszła, trzasnąwszy niegrzecznie drzwiami. Jednakowoż, gdy poproszono na obiad, ochłonęła z gniewu, przypomniawszy sobie, że jeszcze nie dzisiaj nie jadła.

— Dobrze, pójdę... pójdę... ale zaleję temu Anastazemu sadła za skórę!

Panu Anastazemu nie potrzeba było zalewać sadła za skórę, bo i tak miał go tam aż za wiele. Była to w każdym względzie najgrubsza persona w całym mieście; miał gruby głos, gruby brelok u zegarka, grubo napchany pugilares, grube interesy i stosunki (oba te wyrażenia p. Lucia uważała za grubą nieprzyzwoitość), grube maniery, grube dowcipy i grubą tuszę. Palił przytem grube, niemile pachnące cygara... Dziś był w żakiecie, dobrze skrojonym zapewne, bo świetnie uwydatniającym wszystkie szczegóły jego korpulencji. Równie paradnie — tj. odświętnie niemal — wyglądało całe jego dzisiejsze otoczenie. Ciotki miały na sobie jeszcze bardziej staroświeckie suknie, były silniej podmalowane i silniej woniały kamforą. Tatusz bardziej jeszcze, niż kiedykolwiek, prezentował się godnie, jak przystało na właściciela 4 wielkich fabryk. Nadewszystko zaś wspańiałością zakwitł sam pokój jadalny, zwłaszcza stół, na którym znalazły się kosztowne serwisy i różne frykasy. Pan Anastazy miał tu wdzięczne pole do popisu. Między jednym daniem, zajądanem żarliwie, a drugim, zerkał czule na p. Lucię, jakby na deser ją sobie przeznaczając. Ciotki zerkały też zukosa, śledząc, jakie wrażenie czynią na p. Luci te spojrzenia. Niestety, ich przenikliwość tym razem zawiodła, bo z twarzy siostrzenicy nie wyczytały niczego.

Po obiedzie, gdy podano czarną kawę w salonie, nadeszła taka chwila, kiedy wszystkie cztery ciotki zniknęły jak kamfora, pozostawiając po sobie jeno woń kamfory. Tatusz też opuścił pokój, mówiąc, że go wzywają do telefonu. W salonie pozostała tylko p. Lucia z p. Anastazem,

I wtedy to p. Lucia zrobiła grubą nieprzyjemność grubemu p. Anastazemu: powiedziała mu, że nie zostanie jego żoną, bo kocha kogoś młodszego i ładniejszego.

Ciotka Kostusia, która słowa te (podobno przypadkiem) usłyszała przez drzwi niedomknięte, wyraziła się, że jest to gruby nietakt ze strony Luci, gdyż starszych powinno się szanować, a niegrzecznie jest sztydzić z ludzkiej brzydoty. Ciocia Joasia nazwała rzecz tę grubym nieporozumieniem, ciocia Ernestynka bąknęła o jakiejś grubej omyłce. Ciocia Helenka (jako że wiedziała najwięcej) wbrew zwyczajowi nie odezwała się ani słowa, tylko współczująco uściśnęła grubą dłoń p. Anastazego, gdy ten z ciężkiem sercem wychodził z domu.

### III.

Smutno wracali do siebie o jednej porze, choć różnemi drogami i w różnych kierunkach, dwaj nieszczęśliwi — przez jedną kobietę unieszczęśliwieni — mężczyźni: p. Anastazy i p. Ludwik... Pan Anastazy jechał własnym powozem na pograżony w błocie daleki, koniec miasta; pan Ludwik jechał koleją hen na błota poleskie. Pan Anastazy sapał jak lokomotywa, a p. Ludwik wił się, podrygiwał, klaskał, niecierpliwił się i stawał się do tkliwie przykry, jak bicz dorożkarski.

Przyczyną jego dąsów było głównie to, że w pociągu spotkał się i czas jakiś jechał z panną Anielą. Panna ta, wielkiej urody i wdzięku, miała ponoć do Ludwika wielką sympatję; w tem samym jednak nie byłoby nic złego ni przykrego, gdyby nie jeden szczegół w rozmowie. Oto p. Anielą widziała się rankiem z ciotką Kostusią i posłyszala od niej wieść, która mrozem ścięła krew w żyłach Ludwika: „Lucia wychodzi za p. Anastazego”... Ta myśl nie dawała mu spokoju przez całą drogę...

Wieczorem, prawie o jedenastej godzinie, obaj konkurenci dojechali do swych domów, setnie zmęczeni i jazdą i poprzednimi wzruszeniami. Ledwo cośniewoś przekąsiwszy na wieczerzę, pokładli się spać: Pan Anastazy na obszernem łożu, akurat na miarę jego tuszy, choć w innych warunkach za małżeńskie łoże służącyby mogło; zaś p. Ludwik na pięknym, stylowym łożku, jakich dwa — zupełnie jednakowych — dostał w spadku po ś. p. rodzicach. — Wygodne łoże, pełne poduszek i pierzyn miał p. Anastazy. Piękne łożko, pachnące wonią wytwornych perfum, miał p. Ludwik. Jednakże owej nocy nie mieli snów przyjemnych. Długo przewracali się z boku na bok, przeklinając swój los oraz nielitościwą — śpiącą pewnie w tej chwili — królownę swych serc.

— Bodaj to być młodym i pięknym, jak ten fircyk!... — mruzczał gruby p. Anastazy.

— Bodaj to być fabrykantem, choćby z taką gębą, jak ta ropucha! — syczał p. Ludwik, właściciel chudego majątku na błotach poleskich.

Z temi myślami zasnęli. Obu im śniła się piękna śpiąca królowna, której strzegł srogi czarnoksiężnik. Tylko w marzeniach p. Ludwika czarnoksiężnik ten miał postać p. Anastazego, w marzeniach p. Anastazego przybrał wygląd młodego i zgrabnego „fircyka”.

Ale prawdziwy czarnoksiężnik, co niegdyś strzegł śpiących królowien, wyglądał zgoła inaczej. Miał postać siwego oparu, jaki się lęgnie z nad błot poleskich, i umiał przybierać kształty najrozmaitsze — a także i nadawać wszelakie kształty różnym przedmiotom czy rzeczom. Wtedy właśnie latał tam i sam na przetrzeni między miastem, gdzie mieszkała p. Lucia, a majątkiem p. Ludwika. Usłyszawszy, że aż w dwóch miejscach wzywają jego pomocy (albowiem i p. Ludwik i p. Anastazy mówili głośno przez sen), zatarł dłonie z radości. Odkąd bowiem zabrakło królowien (ha, trudno! republikanizm!), był bezrobotnym i zdawna szukał dla siebie zajęcia.

— Spełnię ich prośby, a może znów dostanę jaką śpiącą królownę... choćby królownę tego miasta, tak miłe pachnącego błotkiem! — pomyślał. I używszy czarnoksiężskiej mocy, sprawił, że p. Anastazy zmienił się w przystojnego młodzieńca, podobnego jak dwie krople wody do p. Ludwika, zaś p. Ludwik przedzierzgnął się w opasłą i tłustą staturę p. Anastazego.

#### IV.

Przebudzenie p. Ludwika było mu sowitą nagrodą za upiorne sny nocy ubiegłej. Oto na szafce nocnej leżała depesza, przyniesiona nocą przez stróża, który nie chciał pana budzić, wiedząc o jego zmęczeniu. W depeszy były słowa: „Przyjeżdżaj, będę w domu sama jutro o czwartej, Lucia”.

Zerwał się z łożka p. Ludwik i ubrał się piorunem, ledwo że się omackiem uczesałszy pociemku. Nie czekał na śniadanie, bo każda chwila była mu droga. Kłął w duchu na stróża, ale nie było czasu na połajania. Akurat w pobliżu ozwała się trąbka drancziawego żydowskiego autobusu, wożącego przekupniów z sąsiedniego mia-

steczka do najbliższej stacji kolejowej. P. Ludwikowi przyszło na myśl, że ten środek lokomocji będzie szybszy i pewniejszy niż bryczka, do której długoby trzeba zaprzęgać konie, wyszukawszy wpierrw mocno zaspanego parobka. Wskoczył więc przez okno i popędził przez ścieżki i płoty na gościniec, ledwie że uniknąwszy rzucanej za nim palki stróża, który widocznie wziął go za złodzieja. Autobus, który na chwilę przystawał koło wioski, właśnie już ruszał w dalszą drogę, gdy dopadł go zdyszany p. Ludwik i wskoczył weń z rozmachem, rozbijając cały mendel jaj jednej z żydowskich przekuppek. Rwetes żydowski przyszło mu opłacić paroma złotówkami, ale przekupki długo jeszcze nie mogły się uspokoić.

— Giwałt! co sze pan tak rozpichasz? Ny, czemu pan taki gruby? Pan potrzebuje dwa miejsca płacić!

Niema złej drogi do swojej niebogi! Znosił p. Ludwik mężnie wszelkie wstrząsy rozklekotanego samochodu, aż wreszcie, znalazłszy się w pociągu, odetchnął spokojnie, choć zdawało mu się, że pociąg jakoś wolniej dziś jedzie niż kiedyindziej... Pomimo wszystko, spóźnienia żadnego nie było. Pociąg przyjechał — jak zwykle — o godzinie trzeciej popołudniu. Pozostawała jeszcze jedna godzina czasu, przeto p. Ludwik podążył do restauracji kolejowej, bo czuł się głodny, jak nigdy w życiu; zdawało mu się, że żołądek jego trzykrotnie zwiększył swą pojemność. Jadł i jadł i ledwo, że był najedzony, gdy spostrzegł się, że już dochodzi czwarta. Zapłacił więc corychlej, skoczył do dorożki, a w parę chwil potem wstępował już na schody dobrze znanego domu.

Otworzyła mu sama p. Lucia, ubrana prześlicznie. We włosy miała wpiętą jedną z jego róż. Widać było, że oczekiwała i że postarała się wyprawić wszystkich z domu, nawet służącą, żeby zostać z nim sam na sam. Wzruszony p. Ludwik już brał się do ucałowania rączek p. Luci, aliści zdarzyła się rzecz dziwna. Panna Lucia spojrziała nań z nieopisanym wstrętem, cofnęła obie rączki, skrzywiła się i rzekła zjadliwie:

— Niepotrzebnie pan przychodzi. Już wczoraj panu powiedziałam, że za nic w świecie nie zostanę pańską żoną. Pańskie róże podarowałam służącej. Zresztą nie mam czasu na rozmowę z panem. Proszę mnie nie nudzić! — i bardzo niegrzecznie (co by na to powiedziała ciotka Kostusia!) zatrasnęła drzwi przed samym nosem p. Ludwika.

P. Ludwikowi wydawało się, że piorun w niego trzasł. Nie mógł zrozumieć tej nagłej zmiany w pannie Luci, ani też związku niektórych słów. Zrozumiał tylko słowa: „Za nic w świecie nie zostanę pańską żoną”. Te słowa przejmowały go rozpaczą. Ich stanowczość wykluczała nawet możliwość powtórnego dzwonięcia, tembardziej, że mógł ktoś nadejść (zwłaszcza któraś z ciotek) i gotowa kompromitacja!

Jak niepyszny wyszedł na ulicę. Nie wiedział, co począć. Chciał upić się z rozpachy, ale obrachował, że pieniędzy ledwie że mu na powrót zostało. Do najbliższego pociągu było jeszcze parę godzin... Błądził więc p. Ludwik bezradnie po ulicach miasta, bijąc się z myślami. Rosła w nim rozpacz, kojarząc się z gniewem okrutnym na p. Lucię, która zadrwiła zeń tak niegodziwie. Że jednak miasto, jak rzecz każda, miało swój koniec, więc p. Ludwik, idąc wciąż przed siebie, znalazł się wreszcie poza jego obrębem, wśród rozległych błuń podmiejskich. Rosły tam w jednym miejscu ciemne olchy, zdala wskazując na miejsce, gdzie znajdowało się słynne na całą okolicę jezioro. P. Ludwik miał ochotę powiesić się na jednej z tych olch, wkrótce jednak przypadł mu do gustu inny rodzaj śmierci samobójczej: po-



stanowił się utopić! Jednym susem znalazł się na brzegu jeziora. Spojrzawszy w głęboki nurt, który za chwilę miał położyć kres jego życiu, struchlał — nie z obawy śmierci, ale z innego powodu: — oto w tafli spokojnej wody — niepomarszczonej najmniejszym tchnieniem wiatru, zobaczył nie twarz własną, ale — grubą, czerwona, krostowatą gębę, gruby wąs i gruby nochal pana Anastazego!...

Stał długo, oczom niedowierzając i myśląc, że jego wzrok myli... atoli zjawisko nie ustępowało. Wciąż, jak larwa wodna, spoglądały nań z topieli wielkie, wyłupiaste, mokre oczy p. Anastazego... i czerwieniła się ta sama, piwem i tłustością nalana, krostowata gęba.

— Tfu, na psa urok! — splunął w wodę p. Ludwik. Widziadło zmąciło się z lekka, a gdy po chwili uspokoiła się kołująca woda, p. Ludwik zobaczył w jeziornym zwierciadle młodą i przystojną twarz własną.

## V.

Pan Anastazy postanowił opuścić miasto, w którym zadano cios taki okrutny jego uczuciom, — i przenieść się gdzieindziej. Przedtem jednak musiał zlikwidować interesy przemysłowe, wiążące go z ojcem p. Luci, więc wybierał się tam z poźegnalną wizytą.

Ubierał się w roztertargnieniu i nie dzwonił na służbę, bo nie chciał, by ta z wyrazu twarzy domyślała się, co zaszło. Wstydział się swej rekuzy nawet przed sobą samym, a zdawało mu się, że wszyscy o niej już wiedzą, co zresztą mogło być prawdą, zważywszy plotkarstwo czterech ciotek. Z domu wymknął się chyłkiem; śniadanie i obiad zjadł w restauracji, zrobił parę sprawunków na drogę, kupił zawczasu bilet kolejowy do nocnego pociągu, a gdy nachodziła godzina piąta, wsiadł do dorożki i kazał się wieźć do domu p. Luci.

Jakież było jego zdumienie, gdy otworzyła mu drzwi sama p. Lucia, wcale nie nadąsana — owszem rozpromieniona, serdeczna i radosna. Nie czekając na jego powitanie, sama pierwsza podała mu rękę, wołając:

— Jesteś nareszcie! A nie mogłeś przyjść wcześniej! Ładnie to z twej strony: pozwoliłeś mi całą godzinę czekać na siebie i wciąż poprawiać twoje róże we włosach! Mógłbyś się bardziej do mnie śpieszyć, mój drogi, gdy

się umawiam z tobą!... A to już późno i może nadejść któraś z tych nieznośnych ciotek!

Wciągnęła go za ręce w głąb saloniku. Ledwie jednad usiedli na sofce, ozwał się dzwonek i czyjeś głosy na schodach.

— Ciotki wracają! wszystkie cztery! — szepnęła z rozpaczą p. Lucia. — Na nic dzisiejsza schadzka! Musisz odejść, odejść czempredzej! Nie trzeba było tak marudzić!... Zobaczymy się kiedyindziej... Pomów z tatusiem, zapowiedz mu jutro wizytę... Będiesz mógł się oświadczyć... i będziesz przyjęty...

To rzekłszy, otworzyła drzwi od kuchni i wypchnęła p. Anastazego na tylne schody, sama zaś pobiegła otworzyć ciotkom drzwi frontowe.

P. Anastazy stał osłupiały, nic nie rozumiejąc, a raczej rozumiejąc tylko rzecz jedną: że oto p. Lucia, zmieniając swe postępowanie, czekała na niego z utęsknieniem. Czemu fakt ten przypisać, niewiadomo; w każdym razie należało przyjąć go z radością. W p. Anastazym dojrzała myśl, by ponowić oświadczenia — w formie oficjalnej. Ponieważ jednak wydawało mu się, że żakiet wczoraj jeszcze tak dobrze skrojony, dziś wisi na nim jak na kołku, postanowił pójść do najbliższego krawca i zamówić nowy strój na jutrzejszą wizytę.

Na froncie krawieckiej pracowni znajdowało się, prócz sztyldów i okien wystawowych, także i wielkie lustro reklamowe. P. Anastazem przyszła chętka przejrzeć się w niem, zwłaszcza że wobec doznanej radości chciał z fantazją podkręcić sumiastego wąsa.

Spojrzawszy w zwierciadło — choć nie było ono zwierciadłem czarnoksięskim, ale zwykłym krawieckim — p. Anastazy skamieniał. Oto nie ujrzał w niem tak dobrze sobie znanej twarzy własnej, ale młodą, smukłą, wdzięczną twarz p. Ludwika, pozbawioną nawet wąsa, któryby można było podkręcić.. Pana Anastazego odeszła ochota do kręcenia wąsa. Patrzył długo, myśląc że go zmyśla ludź — ale widzenie nie ustępowało... Wyczuł, że musi się w tem kryć jakaś siła nieczysta, więc — że był i w manierach gruby — plunął siarczyście, w sam środek zwierciadła: „Na psa urok!”

Konterfekt „fircyka” zmącił się od śliny i potężnego, parnego tchu p. Anastazego. Gdy po chwili tafla zwierciadła nieco się oczyściła, p. Anastazy ujrzał odbicie własnej, czerwonej, krostowatej, wąsatej i nosatej twarzy.

\* \* \*

Ostatecznie w dwa miesiące później p. Ludwik ożenił się z napotkaną powtórnie — panną Anielą; natomiast p. Anastazy wziął za żonę ciocię Helenkę, choć była chuda jak patyk i niedopasowana do jego tuszy. Panna Lucia, za sprawą możnego czarnoksiężnika, jeszcze czas jakiś była śpiącą królowną — aż się znalazł jakiś książę (podobno z kupionym tytułem, jak głosiła demokratka Ernestynka), który ją pojął za żonę.

## Dokończenie art. Czyn polskiego kapłana

przedników, jak K. Marcinkowski, K. Libelt, ks. A. Szmarzewski i inni, dokonał dzieła olbrzymiej doniosłości. Uniezależnił gospodarczo zabór pruski, kładąc w ten sposób podwaliny dla przyszłej niepodległości politycznej rozczłonkowanej Ojczyzny.

Był ks. Patron Piotr Wawrzyniak postacią symboliczną. Był typem księdza polskiego, idącego z ludem swym i dla ludu pracującego. Był wreszcie uosobieniem niepożytych sił tego ludu, z którego sam wyszedł.

Działalność ks. Wawrzyniaka świadczy również

i o tem, że społeczeństwo polskie, kierowane przez jednostki takiej miary, jak ks. Patron, wdrażane do pracy systematycznej w imię wielkiego celu — cel ten osiąga nawet w warunkach najgorszych...

Dziś w 25 rocznicę zgonu Wielkiego Polaka i gorliwego Kapłana cała Polska myśląca po katolicku i rzetelnie narodowo pochyla czoła z szacunkiem przed jego mogiłą. Bo był to jeden z budowniczych Polski niepodległej, cichy i ofiarny, nieugięty i wytrwały.

J. R.

ALEKSANDER JUNOSZA-OLSAKOWSKI

3)

## DWAJ BRACIA

Dorożka z samotnym pasażerem nie stanowiła dla nich przeszkody. Jeli przeto przebiegać przez nią, depcząc Lucjanowi po nogach pownieważ naokoło stały zgromadzone wozy ciężarowe i taksówki. Nie wiele myśląc, Lucjan stanął na stopniu i każdego nadbiegającego żyda rzucał na bruk uderzeniem pięści. W ten sposób po kilku minutach popisu bokerskiego przed dorożką utworzyła się kupa poruszających się gwałtownie nóg, rąk i głów. Porwany tym widokiem dorożkarz z wysokości swego kozła zaczął walić biczyskiem naoslep nadbiegających nowych przeciwników. Niewiadomo czemu się skończyła ta awantura, ponieważ tłum zajął wrogą postawę wobec Lucjana i, mając liczebną przewagę, ostatecznie odniósłby zwycięstwo, gdyby nie mundury policyjne, które wypadły z bramy jakiegoś domu i pośpieszyły z odsieczą.

— Z tego opisu podoba mi się charakter pańskiego brata — zauważył pan Czarnolaski, kiwając z uznaniem głową — jak to mówią po staropolsku: zadziorny jest! Takiemu w drogę lepiej nie wchodzić!

— A dużo pan Lucjan położył ludzi? — zapytała z błyszczącymi ciekawością oczyma panna Czarnolaska.

Reszka zaśmiał się.

— Wątpię, aby w takiej chwili prowadził rachunek. każdym razie dał sobie radę, z czego, przyznam się, byłem poniekąd dumny.

— Pan jako stary wojak umie cenić dzielność innych — zagadnął ksiądz proboszcz — sądzę jednak, że nie byłby pan zadowolony, gdyby fakt powyższy miał miejsce na wojnie i Lucjan był zmuszony zabijać.

Antoni wstrząsnął się z odrazą.

— Ksiądz proboszcz ma rację. Smutna to jest konieczność i straszliwa! Szczęśliwy jestem, że los ustrzegł Lucjana od widoków okropności wojny, którą ja, niestety, musiałem przeżywać.

Obecni pokiwali głowami i umilkli.

— Wierzę, że nadejdzie dzień, w którym wszystkie narody będą rozstrzygały spory między sobą nie pomocą gazów trujących i zbrodni wszelakiego rodzaju, lecz drogą porozumienia się swoich przedstawicieli! — przerwał pierwszy milczenie pan Letuski.

— Piękna to myśl, lecz długo będziemy czekali na jej zrealizowanie! — zwątpił pan Sitko.

— Przyjdzie dzień taki! Napewno przyjdzie! — poparł Letuskiego gospodarz domu. — Ale wówczas, kiedy wiara Chrystusowa zapanuje na całym globie ziemskim! Tymczasem zaś, moi państwo, zajmijmy się swojemi sprawami. Poprosiłem was tutaj, aby ostatecznie załatwić sprawę odnowienia kościoła. Przejdziemy zatem do gabinetu, aby omówić wszelkie szczegóły, pan Reszka zaś dotrzyma towarzystwa mojej matce i pannie Zofji!

— Moi drodzy — odezwała się starszka do młodych, skoro zostali sami — przejdźcie do saloniku, ja zaś każę tu posprzątać i przysyłę wam słodkich konfitur. Potem przyjdę na pogawędkę!

Przeszedłszy do drugiego pokoju, panna Zofja rzekła, patrząc prosto w oczy Antoniemu:

— Niech mi pan powie szczerze, czy pan nie żałuje swego życia tutaj w Hejnałowie? Doprawdy trudno mi uwierzyć, ażeby człowiek z pańskimi zdolnościami wyrzekał się dobrowolnie wszystkiego, co daje młodość i świat i żył życiem starca?

Antoni pobladł lekko i uśmiechnął się smutnie.

— Mnie to wystarcza!

— Nie wierzę panu! Chyba...

Nastąpiła chwila milczenia. Przerwał ją Reszka. Głos jego brzmiał głucho i niewyraźnie.

— Co pani chciała powiedzieć?

— Chyba, że miał pan w życiu jakieś przejście, które złamało w nim serce! Prawda?

— Zgadła pani! Są to jednak zbyt smutne rzeczy, ażeby je wspominać. Dziś żyję cały myślą o Lucjanie, chcąc wychować zeń dzielnego i dobrego człowieka!

— Pan go musi bardzo kochać?

— Tak! Kocham go!

— Taka miłość między braćmi jest rzadkością.

— Sądzę, że nie.

— Myli się pan. Zazwyczaj bywa inaczej. Tembardziej cenię w panu to uczucie, które tylko szlachetny człowiek żywić potrafi. Dlatego bardzo pana lubię.

Reszka oczy zaślniły wzruszeniem.

— Panno Zofjo — rzekł z przejęciem w głosie — wieczór dzisiejszy będę zaliczał do najpiękniejszych w mem życiu!

Młoda dziewczyna zaśmiała się srebrzyście.

— Czy dlatego, że pana lubię? Jeżeli niewinny fakt sprawia panu tyle radości, to mogę codzień powtarzać panu, że go lubię, bardzo lubię!

Reszka aż pobladł z wrażenia.

— Panno Zofjo! — wyjąkał. — Nie zasłużyłem doprawdy na tyle względów. Żeby pani wiedziała jaki jestem szczęśliwy...

Panna Czarnolaska zaśmiała się znowu, poczem z przekornym pochyleniem główki spojrzała filuternie na Antoniego.

— A pan... czy mnie lubi?

Biednemu Reszce zawirował w oczach cały pokój. Wydawało mu się, że śni. Ukochana przezeń dziewczyna, o której marzył w snach, ośmiela go sama do oświadczeń, na które jednak nie mógł się zdobyć. Pamiętał, że jest tylko biednym nauczycielem wiejskim, a przed nim stała najzamożniejsza z pańien w okolicy. Oparł się tedy słodkiej pokusie wzięcia dziewczyny w ramiona i rzekł, kierując wzrok w ziemię:

— Bardzo panią lubię! Jest pani taka dobra, tak dla mnie łaskawa...

Panna Czarnolaska plasnęła w rączki z uciechy.

— Doskonale! Bardzo się z tego cieszę! A ponieważ lubimy się wzajemnie, zdradzi mi pan swoją tajemnicę.

— Jaką tajemnicę?

— Tę właśnie, która zmusiła pana do zamieszkania w Hejnałowie i wyrzeczenia się świata. Napewno nie-szczęśliwa miłość? Czy zgadłam?

Reszka potrząsnął przecząco głową.

— Nie, panno Zofjo! To było co innego!

Twarz dziewczyny wyrażała zdumienie.

— Jeżeli nie miłość, to co? — szepnęła.

— Są rzeczy bardziej bolesne od zawodów w miłości! — odparł. — Miałem w życiu zdarzenie, o którym wolałbym nie mówić!

— Ja pana bardzo proszę! Pan mnie tak zaciekawił!

— Więc dobrze! Było to w czasie wojny polsko-bolszewickiej. W czasie jednego z ataków pod Radzy-

**ŚWIECE CHOINKOWE**  
— CHOINKA TO —  
**TRADYCJA**  
DOMU KATOLICKIEGO  
palcie na choinkach świeczki fabryki  
POLSKIEJ I KATOLICKIEJ  
**POŁO**

minem, biegnąc przez pole zorane pociskami armatnimi, potknąłem się i wpadłem do obrzymiego dołu. Zanim zdołałem przyjsc do siebie po dość bolesnym upadku, jakiś człowiek wskoczył do tego samego dołu i rzucił się na mnie z dzikim okrzykiem. Naturalnie począłem się bronić. Początkowo walczyliśmy na pięści, albowiem mój karabin wypadł mi z rąk w czasie upadku, przeciwnik zaś, jak mi się zdawało, był nieuzbrojony. Nad naszymi głowami szalało piekło. Pociski armatnie z ponurym świstem przerywały powietrze, karabiny maszynowe zasypywały nas bryłkami ziemi i odłamkami kamieni, z oddali dochodził wrzask i ryk mordowanych ludzi, a my prowadziliśmy walkę na śmierć i życie w zaciętem milczeniu. Broniliśmy się, bo cóż miałem robić, a jednak w pewnej chwili porwała mnie szalona wściekłość na tego człowieka, który chciał pozbawić mnie życia za wszelką cenę. Korzystając z przewagi fizycznej, odrzuciłem go na bok i wyrwałem z pochwy zapasowy bagnet. Błysk stali, jedno silne uderzenie i było już po wszystkim. Przeciwnik mój z głębokim westchnieniem padł na ziemię i twarz jego pokryła się szpiertelną bledością. Dopiero wtedy mogłem mu się przyglądać. Był to młody, zaledwie dwudziestoletni chłopak, w mundurze bolszewickiego żołnierza. Twarz dość sympatyczna, oczy błękitne, powoli bielmem śmierci zachodzące. Nie wiem dlaczego nachyliłem się nad nim, a wtedy, ku memu przerażeniu, utkwil we mnie konające spojrzenie i szepnął po polsku: „czemuś mnie zabił?” Zaczem jał łowić śpięsznie ustami powietrze, wyprężył się gwałtownie, wyciągnął ręce przed siebie i krzyknął rozzwierającym głosem: „Mamo!” I skonał.

Reszka przysłonił oczy rękoma i zamilkł. Po chwili ciągnął dalej:

— Śmierć tego człowieka zapadła mi głęboko w duszę. Przez długi czas nie mogłem się uspokoić. Pocięzali mnie koledzy, że chopiec ten był wrogiem naszej ojczyzny, że w armji sowieckiej wielu było zdrajców Polaków i że mój przeciwnik poniósł zasłużoną karę. A jednak wyrzuty sumienia nie opuszczały mnie w dzień i w nocy. Począłem unikać ludzi. Wszelka radość została zatruta. Sens życia i walki o lepszy

był nie pociągał mojej uwagi. Straciłem energję do czynu i nie odzyskałem jej do dnia dzisiejszego. Wciąż w mych uszach brzmią słowa umierającego chłopca: „czemuś mnie zabił?”, a potem: „mamo”.

Ze łzami w oczach ujęła panna Zofja dłoń Reszki.

— Bardzo panu współczuję — rzekła cichym głosem — i rozumiem pana. To straszne przeżycie i bolesne wspomnienie. Dla innych byłoby to epizodem wojennym. Dla tych, którzy mają nerwy ze stali. Pan tego nie może zapomnieć, mając naturę subtelną i delikatną, usposobienie artystyczne i gołębie serce. Pan nie nadawał się do wojny i jej szaleństw. Należy pan do tych, co budują, a nie niszczą. Do tych, co tworzą, a nie zabijają. Jakżebym chciała ulżyć pańskiemu sumieniu!

Reszka pochylił się z wdzięcznością i ucałował gorąco rękę, która ufnie spoczęła w jego dłoni.

Raptem otworzyły się drzwi wiodące do gabinetu i na progu stanął ksiądz Górski w otoczeniu swych gości.

— Cóż to za narada między młodymi — zawołał wesoło — rozstrzygacie sprawę państwowe, mając tak poważne miny?

Reszka zmieszał się nieco i w zakłopotaniu spuścił wzrok ku ziemi. Wyręczyła go panna Zofja.

— Rozmawialiśmy o czasach najazdu sowieckiego na Polskę — rzekła — nic w nich nie było zabawnego, dlatego posmutnieliśmy oboje.

— Tak, moja córuś, to były straszne czasy! — pokijał głową pan Czarnolaski. — Czas jednak do domu! Trzeba jechać! Konie czekają już przed plebanją.

Wszyscy zaczęli się żegnać z księdzem, który każdego odprowadzał do drzwi i życzył dobrej nocy.

Ostatni wyszedł Antoni Reszka.

Ksiądz Górski, zaryglowawszy drzwi wejściowe, udał się do sypialni i przed krucyfiksem jał odmawiać wieczorne pacierze.

Wtem rozległo się lekkie pukanie do drzwi. Niechętnie podniósł się z klęczek.

— Kto tam?

Na progu stanęła matka staruszka. W drżących i zwiedłych rękach trzymała talerz konfitur.

Już pojechali? — zdziwiła się.

— Kto?

— Goście.

— Pojechali, matuś! Myśleli, że śpisz i dlatego nie pożegnali się z tobą.

— Szkoda! Chciałam tym młodym dać talerz konfitur... — szepnęła z żalem staruszka.

Ksiądz Górski uśmiechnął się łagodnie.

— Dasz drugim razem, matuś! Idź spać! Dobranoc!

— Dobranoc, synu! (Ciąg dalszy nastąpi).

## NOC BOŻEGO NARODZENIA W AUSTRALJI

*W tę noc najświętszą Bożej łaski,  
Gdy u was w bieli stoi świat,  
Słońce nam ziemię stroi w blaski  
I pęk otwiera każdy kwiat.*

*W miejsce fujarki, co się żali  
Kędyś z uspiionych waszych pól,  
Hymn wodospadów grzmi w oddali  
I duszy ludzkiej śpiewa ból.*

*Miasto gromady te pastusze,  
Co wkoło ŻŁOBKA chylą skroń,  
Klękają kwiaty w niemej skrusze,  
Kadzidlaną w niebo niosąc woń.*

*Gdy u was ziemia wśród zadumy  
Nuci koledę nagich drzew,  
U nas — potoków górskich szumy  
Rzucają w przestwór życia śpiew.*

*Suną poważnie morskie fale,  
Niby KRÓLOWIE w gwiazdy ślad:  
Płaszcz ich mienią się w opale,  
W słoneczny, wielki suną świat.  
I uderzają kornie czołem  
Przed Stwórcą swoim o nasz brzeg,  
A nad północnym hen padolem,  
Anieli z nieba sypią śnieg.*

(Wolny przekład z angielskiego). — S. Marja-Alleja ze Zgrom. Niepokal. Pocz. N. M. P.





# NA FALACH CZASU

## Z POLITYKI

### *Królowa mórz w strachu.*

Konflikt angielsko-niemiecki na tle rywalizacji morskiej, to było to ukryte, ją trzące żądło, które znakomicie przyczyniło się do wybuchu wojny światowej. Anglja w dążeniu do hegemonji nad światem przede wszystkim uważa się za panią mórz i ktokolwiek chciałby się temu przeciwstawić, musi się narazić na jej jowiszowy gniew. I rzecz to zrozumiała: potęga angielskiego imperjum związana jest z jej kolonjami, których nie da się utrzymać bez przewagi na morzach. Dlatego to pierwszą i jedyną bodaj rzeczą, którą konsekwentnie przeprowadzono po traktacie wersalskim, było zniszczenie floty niemieckiej. I dlatego rosnące znów zbrojenia niemieckie, a zwłaszcza budowa nowych jednostek morskich budzić zaczynają w Anglji niepokój. Wyrazem tego niepokój jest artykuł Winstona Churchilla, upatrzonemu w przyszłym gabinecie na ministra marynarki. W. Churchill omawia w tym artykule przede wszystkim rolę Hitlera, a później kwestję zbrojeń niemieckich.

### *Zły demon.*

Hitler, według autora, to demon potężny, ponury i groźny, który wyzwała złą wolę narodu niemieckiego.

Zdaniem Churchilla, same mocarstwa sprzymierzone przyczyniły się najwালniej do umocnienia władzy Hitlera. „Hitler był dzieckiem wściekłości i rozpaczki wielkiego narodu i rasy, która uginąła się pod brzemieniem klęski. On to był, który w duszy niemieckiej uspokoił ducha rozpaczki i zastąpił go przez niemniej niebezpiecznego i chorobliwego ducha zemsty”.

W dalszym ciągu swego artykułu analizuje Churchill politykę powojenną byłych aliantów, podkreśla błędy ich polityki reparacyjnej, które doprowadziły w Niemczech do coraz większego narastania nienawiści. Już pozornie umiarkowane i ugodowe rządu Brüninga rozpoczęły na wielką skalę tajne zbrojenia, dopiero jednak Adolf Hitler rozbudował zbrojenia niemieckie do niesłychanych dotąd granic, stwarzając potężny instrument bojowy. Dzisiaj zbrojenia niemieckie zagrażają pokoiovi, zagrażają

światu, zagrażają Wielkiej Brytanji. Trzeba się z nimi liczyć i przeciwko nim się bronić. Ewangelją dzisiejszych panów Rzeszy jest nienawiść, ich potężne wojsko będzie orężem tej nienawiści.

Co do ugodowości Brüninga, to oczywiście jest jedna z tych fikcyj, których tyle krąży po świecie. Toć przecież Brüning w przystępie szczerości powiedział: „Powiedź, dla którego nie przebijamy w doborze środków, potrzebnych dla zabezpieczenia republiki, jest ten, że myśl nasza pochłonięta była całkowicie pragnieniem z e m s t y”. Jak na tego kanclerza, którego świat uważał za szczerego pracownika na rzecz pokoju, powiedzenie bardzo wymowne.

Artykuł Churchilla, odsłaniający prawdziwe oblicze Niemiec, wywołał z ich strony silne protesty, ale opinja Angielska, nie daje się dziś hipnotyzować sympatji dla „krewniaka z kontynentu” i stanęła całkowicie po stronie swego im ministra marynarki. Anglja nie da się zdeponizować jako królowa mórz. Oznaczałoby zresztą to jej koniec.

### *Zgon polityka i zgon iluzji.*

Niedawno zmarł w Londynie na raka Artur Henderson, przewodniczący międzynarodowej komisji rozbrojeniowej. Ze względu na stan zdrowia nie był on pod koniec swego życia informowany o ostatnich wydarzeniach polityki międzynarodowej i nie wiedział o toczącej się przeszło od miesiąca wojnie włosko-abisyńskiej.

W tej śmierci człowieka i polityka możnaby się dopatrzeć pewnego symbolu! Czyż obserwatorowi różnych zjawisk na terenie międzynarodowym nie nasuwa się wniosek, że t. zw. polityka pacyfistyczna umiera na raka ignorancji.

Przecież nietrudno zauważyć istnienie dwutorowości w polityce światowej. Z jednej strony Liga Narodów z jej principium równowagi międzynarodowej, opartej o arbitraż, z drugiej realna polityka poszczególnych mocarstw i państw, opierających swe dążenia na wytrącaniu świata z równowagi udzieleniem bagnetów.

Ostatecznie nie byłoby w tem nic złego, gdyby w Genewie holdowano pewnemu principializmowi, zło dopiero zaczyna się w chwili, gdy ten principializm ktoś zechce uważać za czynnik faktyczny polityki międzynarodowej. Wówczas, tak jak Henderson, by zostać przy swej iluzji, musi zamknąć uszy na wszystkie odgłosy świata, a wreszcie zamknąć i oczy na zawsze.



Nowozbudowany pomnik włoski w Adui w Abisynji

Trudno, trzeba to sobie powiedzieć: Genewa nie jest faktycznym ośrodkiem polityki międzynarodowej. Szczerze mówiąc, niema właściwie w świecie takiego superarbitra (była nim ongiś Stolica Święta), któryby mógł decydować na serjo o wojnie i pokoju. Dziś wciąż jeszcze każdy naród czy państwo, Japonja czy Włochy, dla przykładu biorąc, może się z powodzeniem usunąć spod oka kontroli międzynarodowej.

#### Anglja i Włochy.

Kompromis zarysowujący się między Anglją i Włochami trochę się ostatnio zachwiał. I Anglja i Włochy są jednakowo bezwzględni. Anglja oczywiście nie chce w niczem popuścić ze swej roli pierwszego arbitra świata, Włochy zaś nie chcą zrezygnować ze swego programu kolonialnego. Czem jest rola Anglji w polityce, dowcipnie ujął to jeden z dyplomatów, określając charakter uchwał Ligi Narodów. Są trzy rodzaje uchwał Ligi: jednomyślne, kiedy wszystkie państwa i Anglja nie zgadzają się, i wtedy nie obowiązują, jednogłośnie, kiedy wszystkie państwa nie zgadzają się a Anglja się zgadza i wtedy obowiązują, oraz z jednym zastrzeżeniem, kiedy wszystkie państwa zgadzają się nareszcie, tylko Anglja się nie zgadza i wtedy nie obowiązują. Napozór paradoksalne to określenie przy bliższym rozejrzeniu się wydaje się ściśle odpowiadać faktycznemu, jak dotąd, układowi sił w Genewie i wogóle w międzynarodowej polityce.

Weźmy ostatni przebieg wypadków. Wydawało się, że Lavalowi udało się stworzyć podstawy do kompromisu. Miał on być oparty na jednoczesnym ustępieniu obu stron. Ale to Anglji nie wystarcza. Żąda ona, by pierwsze ustąpiły Włochy. „Echo de Paris” donosi, że Anglja nie wycofała dotąd ani jednego okrętu wojennego z morza Śródziemnego, mimo zapewnienia pomocy floty francuskiej i mimo wycofania jednej dywizji włoskiej z Libji. Przeciwnie, admiralicja angielska czyni obecnie nadzwyczajne przygotowania. Wycofane okręty wojenne oddaje się znowu do służby, powołuje się rezerwy i zakłada punkty oparcia we wschodniej części morza Śródziemnego, zwłaszcza zaś w Aleksandrii, Haifie i na Cyprze.

Admiralicja angielska żąda obecnie od Francji zarządzeń, które równałyby się faktycznie mobilizacji francuskich sił zbrojnych.

## Z ŻYCIA KATOLICKIEGO

### Dlaczego komunista Matorras wrócił do Kościoła?

Oficjalny powrót do Kościoła jednego z wybitnych komunistów, generalnego sekretarza hiszpańskiej młodzieży komunistycznej, Enrique Matorrasa, tak wielkie w Hiszpanji uczynił wrażenie, że do dziś bezmała półtora roku, opinja publiczna żywo się tym faktem interesuje, opatrując niejednokrotnie zgola bałamutnymi komentarzami. Aby położyć kres niepoważnym i częstokroć zupełnie fantastycznym dociekaniom, Enrique Matorras ogłosił ostatnio dzieje swego nawrócenia, które, jako pochodzące od byłego komunisty, niejednego zainteresują.

„Młoda moja, żarem gorejąca dusza — pisze Matorras — potrzebowała czegoś wyższego. Pełna ona była pożądania, by móc zdziałać coś szlachetnego, móc wieść bój o jakieś szczytniejsze ideały. Tymczasem to wszystko, co ją otaczało, było zbyt poziome. Spoczątku zdawało mi się, że ma-

terjalizm marksistowski potrafi rozwiązać kwestję socjalną, wkrótce jednak dostrzegłem, że on tego ani nie chce, ani może uczynić. Tego, za czem tęskniła moja dusza, nie znalazłem również ani w miłości mojej żony, ani w miłości do mego dziecka. Myślałem już o samobójstwie, Przy jakiejś okazji zaproszono mnie na zebranie spirytystów, poszedłem i śmiałem się z komedji, jaką tam zobaczyłem... Kiedy jednak wpadła mi w ręce broszura, w której dojrzałem słówko „Bóg”, coś głęboko mną wstrząsnęło i przed oczyma zjawily się moje lata dziecinne, kościół, nabożeństwo... Całą noc przemyślałem nad tem wrazeniem i następnego dnia kupiłem Pismo św., nie zdając sobie jeszcze sprawy, do czego mię to doprowadzi. Zacząłem czytać i naraz w umyśle moim rozjaśniło się: Przecież to tu jest rozwiązanie zagadnienia prawdy socjalnej! Ale miałem jeszcze bardzo dużo wątpliwości i zastrzeżeń. Postanowiłem przeto porozmawiać o tem z pewnym starym kapłanem, by mi te rzeczy wyjaśnił. Kapłan ten poradził mi, bym całą żarliwość swego serca zwrócił do Ukrzyżowanego Chrystusa Zbawiciela i błagał Go, by ukoił moje troski. Posłuchałem tej rady. Modliłem się tak przez kilka dni, aż doszedłem do tego, że postanowiłem wspólnie z żoną iść do kościoła posłuchać nauki katolickiej... W nauce katolickiej znalazłem źródło, w którym ugasiłem moje pragnienie. W nauce tej znalazłem również najostrzejsze osądzenie i straszliwe kary dla tych, co wyzyskują robotników. 11 maja 1934 r. zawarłem małżeństwo z moją dotąd nieślubną żoną, a już 16 maja zgłosiłem się do gazet, oświadczając, iż zrywam z dotychczasowemi memi błędami i wzywając przyjaciół, by poszli za mną. Jednocześnie oświadczyłem, że wstępuję w szeregi bojowników o katolicką organizację robotniczą. Uczyniwszy ten krok, czuję, jak od owego czasu wzrasta we mnie zapał i przekonanie, że jest to jedyna droga, wiodąca do zbawienia rodzaju ludzkiego”.

### Katolicyzm pomostem między Polską i Czechosłowacją.

Na łamach czasopisma „Slovensky vychod” znany publicysta czeski dr. Alfred Fuchs kreśli ostatnio uwagi na temat możliwości załagodzenia sporu polsko-czeskiego i wypowiada zdanie, że medjatorem w tym sporze mogą być przede wszystkim sfery katolickie.

W obecnej fazie konfliktu — podkreśla dr. Fuchs — polskie koła katolickie zachowują wyraźną powściągliwość. Dowodzi tego zarówno stanowisko prasy, jak i stanowisko dostojników Kościoła. Kiedy już zjawiały się oznaki konfliktu, prymas Polski, Kardynał Hlond, dwum dziennikarzem czeskim wskazywał w wywiadzie, udzielonym w czasie Zjazdu Katolickiego, na rolę Słowiańszczyzny zachodniej w Kościele, jako bastjonu przeciw neopogaństwu i ateizmowi. Z tego katolicy mogą wyciągnąć właściwy wniosek. Okazją do tego mogłaby być zapowiadana pielgrzymka słowacka do Częstochowy pod wodzą ks. prałata Andrzeja Hlinki. Katolicy polscy przy każdej sposobności oddają katolicyzm swój służbie państwu polskiemu. Czy katolicy czeszy nie oddaliby państwu czechosłowackiemu wielkiej usługi, budując most porozumienia? Nie można, oczywiście, zamykać oczu na fakt, że pielgrzymka ks. Hlinki może wywołać skutki wprost przeciwnie i spowodować wspólną antyczeską manifestację polsko-słowacką. Trzeba jednak pamiętać, że ks. Hlinka, choćby był

nawet jeszcze bardziej opozycyjnie nastrojony, za granicą nigdy nie łączył się z irredentą. Mądrzem byłoby, gdyby w czasie pielgrzymki słowackiej zjawili się w Częstochowie i Czeši. Wtedy wspólna myśl religijna, która tak pięknie objawiła się na katolickim zjeździe praskim, byłaby niewątpliwie momentem zbliżającym. „Osservatore Romano” dementowało niedawno, jakoby nominacja b. posła w Pradze, Grzybowskiego, na podsekretarza stanu w prezydium rady ministrów oznaczała zamiar odwołania posła z Pragi i zapowiadała zerwanie stosunków dyplomatycznych. Znamieniem jest, zdaniem dr. Fuchsa, że zaprzeczenie to doszło do Pragi drogą okólną i właśnie przez Watykan, w dodatku bez żadnych komentarzy. Wskazywałoby to, że Watykan pragnie zapobiec, by konflikt polsko-czechosłowacki nie odbił się ujemnie na sytuacji katolicyzmu w Europie środkowej i zachodniej. Dlatego też przedewszystkiem katolicy mogliby w sprawie tej wyświadczyć polityce państwowej wielką usługę.

## Z TEATRU

„Kordjan”, to wielka, uscenizowana spowiedź zbolalej duszy polskiej. W tym też duchu, jako pewnego rodzaju popis deklamatorski, ilustrowany od czasu do czasu realistycznymi obrazkami, należy potraktować całe widowisko. Tak właśnie zrobił reżyser Leon Schiller, który stworzył z wielkiego dzieła poetyckiej fantazji Słowackiego, feerję pełną upersonifikowanych idei i uplastycznionych przeżyć.

Historja polskiego Winkelryda-mściciela jest niewątpliwie pełna napięcia tragicznego najwyższej miary. Nietrudno zresztą zrozumieć tragizm w utworze wyrażającym klęskę z r. 1831.

Co za przejmujący ból spływa ze strof Kordjana:

„...I nie stało kiru Na szatę matki naszej, więc w troje pocięto, A dziś zapytaj mewy, lecącej z Sybiru, Ilu w kopalniach jęczy? a ilu wyrżnięto? A ilu przedzierżnięto w zdrajców i skalano? A wszystkich nas łańcuchem z trupy powiązano, Bo ta ziemia jest trupem... Brat się wściekł carowi, Więc go rzucił na Polskę, niech pianą zaraża! Zębem wściekłym rozrywa.

Po takim stwierdzeniu beznadziejnego położenia kraju, jakież mogło paść hasło, jeśli nie buntu, jakież uczucie wybuchnąć, poza nienawiścią, jaki cel przyświecać, prócz zemsty.

Tak też brzmi hasło „Kordjana”:

Mściciele, spiskowi! Gdy car wkładał koronę u stopni ołtarza, Trzeba go było jasnym państwa mieczem zgładzić, I po-grzebać w kościele i kościół wykadzić, Jak od dżumy tureckiej i drzwi zamurować I rzec: O Boże, racz się nad grzesznym zmiłować! Idźmy tam... i wypalmy ogniami na murze Wyrok zemsty, zniszczenia... I z hasłem tej zemsty krąży po scenie Kordjan i miota się w rozpacz i bezsile, bo nie jest łatwo wykonywać zemstę z „Bogiem, czy choćby mimo Boga”.

Tak rozwija się przed nami krew ścinający w żyłach monolog duszy umęczonej, pozbawionej Ojczyzny w sensie dosłownym i przenośnym.

Znakomicie poniósł na swych barkach ciężar tego niesamowitego monologu młody aktor Marjan Wyrzykowski. Jego Kordjan nie był może „przefilozowanym” cieniem, chodzącym na koturnach patosu, ale był bardzo ludzki i przez to bliski, szczerze wzruszający.

W przeobfitej galerji postaci, zaludniającej scenę, jedną z najbardziej plastycz-

nych był B. Samborski, jako Wielki książę Konstanty. A jego rozmowa z bratem była sceniczenie wprost kapitalna.

Co do posunięć reżyserskich, to możnaby zakwestjonować scenę w Watykanie, głęboko przejmującą, aż odrażającą. Czy tego rodzaju akcenty były konieczne, skoro w bardziej zrównoważony sposób potraktowany został chociażby wspomniany Wielki Książę?

W każdym bądź razie „Kordjan” potraktowany został jako wielkie widowisko i przeprowadzenie tego założenia całkowicie się udało.

„Przepióreczka” Żeromskiego w teatrze Narodowym, to niemniej wielkie wydarzenie teatralne, jak Kordjan w Polskim. „Przepióreczka” należy do wyjątkowo pełnych czystej atmosfery utworów mistrza w odsłanianiu ponurych stron życia, jak chociażby w granem jednocześnie „Ponad śnieg” (Kameralny). Oczywiście i w „Przepióreczce” jest pewien ton beznadziejności, który każdemu człowiekowi wyrzec się szczęścia osobistego dla wypełnienia celu ogólnego dobra.

Dziesięć lat temu, pisząc o premierze „Przepióreczki”, podkreślałem właśnie tę stronę utworu, stawiając znak zapytania nad koniecznością tego rodzaju rozwiązań. Bo istotnie, czy w małżeństwie i rodzinie, której założenia wyrzeka się nauczyciel Przełęcki, tkwi taka nieprzewidywana przeszkoda na drodze spełnienia jego obowiązku? Przecież małżonkowie nie biorą się wzajemnie w takie posiadanie, by już przez to przestawał istnieć cały świat, by ogólniejszy cel nie mógł być spełniony. Przeciwnie, małżeństwo, jako prakomórka społeczna, powinno być naturalnym fundamen-

tem dla tem lepszego osiągnięcia tego celu, winno być spółką nieograniczonej pomocy mężczyzny i kobiety dla wypełnienia tego celu. Do zrozumienia tego dorósł nauczyciel Przełęcki, nie dorosła, zdaje się, księżniczka i i dlatego rozchodzą się.

W każdym bądź razie „Przepióreczka” jest sztuką, na której oddycha się pełną piersią. A jej bohater Przełęcki w interpretacji Osterwy miał ten sam ton, jak przed dziesięć laty.

„Dom otwarty” wystawiony w Letnim przy wszystkich pozorach lekkości i przy całej atmosferze karnawałowej zabawy jest jedną, natchnioną oczywiście komediowym uśmiechem, pochwałą „domu zamkniętego”, czyli życia w zamkniętym kole rodzinnym, w ciepłym ognisku domowego.

I pod tym względem sztuka jest wprost pedagogiczna. Tyle gromadzi argumentów na korzyść życia rodzinnego, na korzyść czaru i wartości cichej, ukrytej przed światem miłości małżeńskiej i rodzinnej, że doprawdy trudno im się oprzeć. Tem trudniej, że przecież nie zaoszczędzono, ani jednego z argumentów, które przedstawiają ponętę świata. Przecież właśnie pokazano nam w znakomitej oprawie scenicznej blaski „domu otwartego”.

Znakomita realizacja aktorska sztuki pozwala nam przez cały drugi akt „otwarcia domu” świetnie się bawić, ale gdy przebrzmiały ostatnie tony muzyki tanecznej, i na dom padła znów cisza zamkniętego kręgu spraw, odczuliśmy prawdziwą ulgę i całym sercem przygnęliśmy do postaci pułkownika w doskonałej interpretacji Chmielewskiego, do pani i pana Zelskich, z całym wdziękiem i prostotą odtworzonych przez Łubińską i Hnydzińskiego.

Oczywiście bawiła nas znakomicie galeria figur karnawałowych z niezrównanym Dymszą-Fikalskim na czele. Ale ci nas tylko śmieszyli. Tamci zdobyli nasze serca i szlachetną zazdrość, że może istnieć takie ciche gniazdo rodzinne, o co dziś tak trudno.

J. Cz.

#### Teatr miejski w Bydgoszczy.

Celem poniżej zamieszczonych uwag teatromana jest zaznajomienie czytelników „Rodziny Polskiej” z życiem teatralnym Bydgoszczy, które od lat kilku rozwija się bujnie, przynosząc zaszczyt kulturze zachodnich stron naszego kraju.

Znawcy stosunków teatralnych w Polsce zgodnie stwierdzają, że, gdy się rozglądają po polskiej prowincji, to przedewszystkiem wzrok ich zatrzymuje się na Teatrze Miejskim w Bydgoszczy, dużym, stutysiącnym mieście, położonym na pograniczu Wielkopolski i Pomorza w północnym dorzeczu Wisły nad rzeką Brdą. Jest to bowiem najlepszy dziś teatr prowincjonalny w Polsce, który pozatem jest duszą Bydgoszczy — miernikiem jej silnych dążeń kulturalnych, jest siewcą sztuki na wysokim poziomie.

Piętnaście lat (przedtem teatr był niemiecki) wyteżonej, owocnej działalności w dziedzinie krzewienia kultury teatralnej i ojczystego języka w mieście, doniedawna silnie przesiąkniętym obcym elementem, to jedna z najświetniejszych kart historii teatru polskiego wogóle. I jeśli dzisiaj Bydgoszcz uchodzi za miasto wybitnie polskie, przyznać należy, że jest to również w znacznej mierze zasługa bydgoskiej świątyni sztuki, budzącej od zarania niepodległości wielkie zainteresowanie i zrozumienie dla



„Dom otwarty” Bałuckiego na scenie Teatru Letniego

piękna i artyzmu wśród miejscowej ludności.

Publiczność bydgoska dzieli się na dwie zasadnicze kategorie. Jedna, to zdawna osiadli mieszkańcy miasta, dla których teatr jest wyłącznym środkiem poznania twórczości scenicznej, zarówno polskiej jak i obcej. Tych widzów teatr urabia, kształtuje ich pojęcia, zaznajamia ich z kulturą minionych wieków i zbliża do zagadnień, jakim dawano zawsze i daje się wyraz ze sceny.

Druga kategoria publiczności wychowana jest na wzorach teatrów: warszawskiego, lwowskiego, czy krakowskiego. Ci widzowie znają już różne epoki w dziejach teatru i żądają przeważnie nowości. Trzeba dla nich zachować stałą łączność z twórczością sceniczną Zachodu i teatr musi się dla nich w programie swym dostosowywać do programów stołecznych.

Osobno nadto należy traktować szerokie warstwy, pragnące silnych wzruszeń i niczego więcej. Zainteresowanie tych ludzi trzeba skierować ku rzeczom wartościowym, ku sztukom religijnym.

Wreszcie pozostaje jeszcze młodzież i dzieci, żadne treści prostej, a przytem budujące, zwykle patriotycznej.

Potrzeby wszystkich tych kategorii widzów stara się umiejętnie zaspokajać teatr bydgoski pod kierownictwem swego zastępczego dyrektora — Władysława Stomy.

Artyści zmieniają się z sezonu na sezon, lecz dyrekcja jest zawsze ta sama i ona daje teatrowi tę mocną linję, po której niezachwianie kroczy od długiego szeregu lat. Występowali na scenie bydgoskiej gościnnie tacy nasi artyści, jak Solecki, Jaracz, Cwiklińska, Frenkiel, Leszczyński i wielu, wielu innych.

Jakkolwiek repertuar był i jest stale bardzo urozmaicony, zawsze jednak teatr bydgoski dążył wytrwale przedewszystkiem do popierania twórczości rodzimej.

Wystarczy przyjrzeć się repertuarowi ostatnich kilku miesięcy.

Grano zatem: „Mazepę” Słowackiego, „Poskromienie złoŹnocy” Szekspira, „Lekarza mimowoli” Moliera, „Powrót posła” Niemcewicza, „Zemstę” Fredry i „Rozbitki” Blizińskiego.

Nie brakło też nowości, jak: „Towariszcz” Devala, „Pieniądz to nie wszystko” Bus-Feketa, „Kwiecista droga” Katajewa, „Ten i tamten” Kiedrzyńskiego i „Człowiek, który nie pije” Rapackiego, oraz „Zwyciężyłem kryzys” — Voulpiusa.

Popularne misterjum religijne „Golgota” uzyskało ponad 30 przedstawień, a dla młodzieży specjalnie wystawiono inscenizację „Pana Tadeusza”, „Robinzona Crusoe” i „12 godzin przygód” Warneckiego.

Mimo znacznych kosztów, jakie pochłania wystawienie oper i operetek, nie zaniebdywano również i tego działu kultury scenicznej. Z klasycznego repertuaru oglądano tu ostatnio „Ptasznika z Tyrolu”. Obecnie grane są i cieszą się wielkiem powodzeniem operetka „Wiedeńska krew” i L. Rydla „Zaczarowane koło”.

L. Rubach.

## Z PIŚMIENNICTWA

*Wawrzyn Akademicki.* Przed tegorocznem Świętem Niepodległości ogłoszona została przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego pierwsza lista, zawierająca wykaz odznaczonych (na wniosek Polskiej Akademii Literatury) złotą i srebrną odznaką Wawrzynu Akademickiego. Przedmiotem jesiennego wieńczenia stali się z jednej strony literaci, z drugiej natomiast ci wszyscy, którzy

w ten czy inny sposób przyczyniają się do propagandy literatury. Wśród odznaczonych literatów widnieją wszystkie niemal znane dziś nazwiska. Jest noster Świętochowski, jest Rodziewiczówna, Lechoń, Tuwim, Zegadłowicz, Wierzyński, Goetel, Dąbrowska itd. Zapomnianemu dziś Daszyńskiemu przypada Wawrzyn Akademicki za krasomówstwo, dzięki któremu święcił takie triumfy w parlamencie austriackim; odznaczeni też zostali znakomici historycy literatury z prof. Brücknerem i prof. Ujejskim na czele. Miło nam również zarejestrować fakt, że srebrną odznaką Wawrzynu Akademickiego odznaczona została redaktorka działu kobiecego naszego pisma — Lucyna Kotarbińska. Wedle oficjalnego brzmienia, odznaczenie to przyznano jej za zasługi położone dla sceny polskiej. Jesteśmy przekonani, że to tylko podział formalny wyznaczył p. Kotarbińskiej miejsce w tej grupie, wręczystości bowiem oddziaływanie jej nie ograniczało się do teatru. Ile jej zawdzięczali najświetniejsi pisarze, powiedzieby mogli dedykacje, które wypisywali na swych książkach. Niema celu omawiać całej listy odznaczonych, warto jednak dodać, że nie zabrakło kameralnego żydka. Jest nim właściciel — czy współwłaściciel — ruchliwego „Roju” — Marjan Kister. Że wydał parę rzeczy wartościowych, to jeszcze nie powód, żeby go za to odznaczyć, bo wydał to nietylko dla chwały literatury, co dla zarobku. Dla zarobku wydał też dosyć śmieci, więc mogłaby nasza Akademia być trochę powściągliwsza. Wogóle wartyby przedyskutować kwestję odznaczania księgarzy! Jakiś młody autor oświadczył melancholijnie, że literat pisze dziś poto, żeby księgarze mieli na czem zarabiać. To fakt, a najwięcej z tem właśnie „robi” p. Kister. Debjutantom nietylko nie płaci honorarjów, ale jeszcze każe sobie dopłacać, że raczył wydać książkę. Pisarze znani i uznani także nieraz mieli krwawe porachunki z „Rojem”. Aż tu nagle Wawrzyn Akademicki! Siedzi sobie Akademia na Olimpie czy za górami, że nie wie, co wyrabia kameralny żydek? (ch)

*Polemika o „Bogurodzicę”.* Pomiędzy dr. Józefem Birkenmajerem a prof. Julianem Krzyżanowskim toczy się na łamach Pionu polemika o czas powstania Bogurodzicy. Prof. Krzyżanowski — gloryfikator prof. Brücknera jest rzecznikiem tezy, umiejscawiającej pierwszy utwór polski w czasach Władysława Jagiełły. Nowych argumentów na korzyść swej tezy dostarcza dr. Birkenmajer w broszurze „Bogurodzica” wobec hymnografii łacińskiej. (ch)

*Twórczość Rostworowskiego.* Karol Hubert Rostworowski wybrany został do Polskiej Akademii Literatury jako największy współczesny dramaturg polski. Do tej pory nie wziął o sobie udziału w żadnem zebraniu Akademii, choć na jednym z zebraniń odczytano jego prelekcję o romantyzmie. Początkowo tę absencję traktowano jako stronięcie celowe, okazuje się jednak, że Rostworowski oddawna już poważnie choruje. Ta choroba jest także powodem milczenia twórczego, lecz nadchodzą już z Krakowa wiadomości, że Rostworowski nie ustaje w pracy. Obecnie tworzy nową komedję z życia teatralnego, której centralną postacią będzie jubilat Ludwik Solski — odkrywca Rostworowskiego dla teatru; oprócz tego narasta nowymi fragmentami Czerwonony marsz — rzecz osnuta na tle rewolucji francuskiej. Część tego ostatniego utworu drukowana była jeszcze w r. 1929 w po-

staci dodatku arkuszewego do Gazety Warszawskiej. Ten częściowy pierwodruk dramatu, zapowiadającego się nadzwyczaj interesująco, dziś już stanowi rzadkość ogromną. (ch)

*Sprawy ważniejsze i nieważne.* Józef Wittlin wydał powieść o wielkiej wojnie pt Sól ziemi; będzie to trylogja, nad którą pracuje od lat dziesięciu. — Najnowszy zbiór feljetonów Antoniego Słonimskiego nosi tytuł W beczce przez Niagarę; odznacza się on ostatecznem rozczarowaniem spowodu Rosji boszewickiej, która nazwana jest tu „państwem największego skrępowania swobody słowa”. — Genealogja teraźniejszości będzie najnowszą książką sędziwego Aleksandra Świętochowskiego. — Rycerz Chrystusowy — powieść Marji Czeskiej-Mączyńskiej o św. Wojciechu po przekładzie na język czeski doczekała się tłumaczenia niemieckiego, które ukaże się już w najbliższym czasie; oryginał polski również pojawił się ma w nowem wydaniu. (ch)

*Laureatka Warszawy.* Nagrody literackie Warszawy i Łodzi zapragnęły być nietylko złotemi jabłkami; zachciało im się spadać na Newtonskie ciemiona literatów jesienną — zupełnie tak samo jak jabłka prawdziwe. Nagroda warszawska, przyznawana dotąd na 3 maja, teraz będzie przyznawana na 11 listopada. Doszło jednak i nowe ograniczenie: wolno ją przyznawać autorom, których twórczość jest związana ze stolicą. I dlatego będzie kłopot! Gdyż albo takich pisarzy nie będzie, albo trzeba będzie przebrnąć przez takie mnóstwo grafomańskich bajdurzeń, że znowu nie będzie czego nagradzać. Pewna jest tylko jedna rzecz: za parę miesięcy pojawi się powieść Chłopczy z Kiercela, potem Baby z Bródna, Dziedzi z Cyru itd. Dlaczego? Bo w tym roku nagrodzono Dziewczęta z Nowolipek Poli Gojawiczyńskiej — pozatem autorki tomu nowel Powszedni dzień i powieści śląskiej Ziemia Elżbiety. Przeciwno orzeczeniu zbyt czyste wysuwać sprzeciw; to są oraty, gdy chodzi o interes Warszawy; a nie są miernoty, gdy chodzi o artystyczny punkt widzenia. Rola Gojawiczyńskiej w literaturze była większa w momencie debjutu, aniżeli teraz. Dwoma swemi pierwszymi książkami wniosła — podobnie jak Michał Rusinek — atmosferę zdrowia i normalności w tym okresie, kiedy w beletryście polskiej rozbrzmiewały neurasteniczne i patologiczne postępowania Rudnickich, Uniłowskich, Chormańskich. Dziewczęta z Nowolipek były gruntowniem zdobytej pozeji. Na przestrzeni dwóch tomów Gojawiczyńska nie wytrzymała wprawdzie tonacji, w której zaczęła swą opowieść o dziejach rzemieślniczych dziewcząt z parafji na Lesznie, drugi zwłaszcza tom wnosi inny klimat, ale jednego nie można odmówić autorce: wyrazistości plastycznej. Dzięki temu powieść jest naprawdę mocnym obrazem życia tamtej dzielnicy przed wojną. Na kartach powieści razporaz wspomina się Księdza z Noskiem — prałata Łubieńskiego z Leszna; pada też nazwisko ks. Kłopotowskiego — założyciela Drukarni Archidiecezjalnej, w której drukuje się nasze pismo. Monument to nie jest, lecz bądźco bądź jest to dowód — nonszalanckiej może — pamięci ze strony autorki, która podobno kiedyś pierwsze swoje drukowane słowa widziała właśnie w wykonaniu drukarni ks. Kłopotowskiego. Dokładne zbadanie tej sprawy zostawmy historykom literatury! Niech i oni mają jakieś zajęcie! (ch)

# Dział Kobiety

## DLA DUSZY.

*Błogosławiona dusza, która wewnątrz siebie słucha głosu Pańskiego; i z ust Jego przyjmuje słowo pociechy!*

*Błogosławione uszy, czujne na poszept Bożego tchnienia, a głuche na podszepty i gwary tego świata!*

*Błogosławione jeszcze raz uszy, które, nie głosu zewnątrz brzmiącego, lecz prawdy wewnątrz uczącej słuchają!*

*Błogosławione oczy, które nie patrzą na rzeczy zewnętrzne, a tylko w świat wewnętrzny wpatrują się!*

*Błogosławieni, którzy przenikają drogi wewnętrzne, a przez codzienne rozmyślenia sposobią się coraz bardziej do pojmwania tajemnic Nieba!*

*Błogosławieni, którzy usiłują oddać się Bogu i służyć Mu, i oderwać się od wszelkiej przeszkody świata!*

*Zważ to, duszo moja i zamknij wrota zmysłowości twojej, ażebyś mogła słyszeć, co w tobie przemawia Pan i Bóg twój!*

Tomasz à Kempis.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

Wszystkim naszym Szanownym Czytelnikom życzymy, aby piękne Święta Bożego Narodzenia, zastały ich hartownych i niezachwianych wiarą w lepsze jutro, nie tylko nasze ale całego świata. Aby mocnym postanowieniem zwyciężania trudności życiowych odpędzali troskę dnia bieżącego. Aby w ciszy serca przełamali Opłatek, ten piękny symbol naszego obyczaju w dzień Wigilijny wśród Rodziny, ufając, że byle czyste sumienie i zdrowie, to każdą kolej życia Bóg nam pozwoli przeżyć — trzymając się — prosto!

W to wierzy i tego życzy Czytelnikom „Rodziny Polskiej“

REDAKCJA

## CO ROBIĆ? GDZIE SZUKAĆ PRACY?

Oto pytanie, które słyszymy co dnia, często kilka razy na dzień.

Zro paczeni ludzie, równie kobiety jak mężczyźni, ręce łamią, głodem przymierają, ledwo odziani, opowiadają o swych kwalifikacjach. Ten, skończył politechnikę. Inny instytut muzyczny. Ta była urzędniczką, kończyła pensję, zdała maturę, pisze na maszynie, jest stenografistką w dwu językach. Inna ma kursy gospodarcze poza sobą i praktykę w gospodarstwach Danji i Belgji. — Ta znów, w Paryżu, w wielkim magazynie nabrała wielostronnych wiadomości w dziedzinie ubrań i strojów kobiecych. Ma doskonałe zaświadczenia zagranicznych mistrzów mody.

Jeszcze inna — w Paryżu, we Włoszech i Anglii studjowała sprawy dziecięcej literatury. Była w redakcjach pism dzieciom przeznaczonych, patrzyła, słuchała — uczyła się pilnie.

Pozatem setki istot dawnego systemu nauki, co to *wszystko* i *nic*.

Powtarza się to, co przed dwudziestu laty już się mówiło i słyszało.

— Jestem bez zajęcia.

— Co pani umie?

— Kończyłam pensję, mogę robić *wszystko*.

A to „wszystko”, przełożone na język praktyczny, to właśnie jest *nic*. Owo *nic*, które nas gubiło i jeszcze często gubi.

A więc, co robić? Czekać na śmierć głodową? Patrzeć na głodne i zmarznięte w nieopalonem mieszkaniu dzieci?

Jedyna dziś na to rada — to *własna inicjatywa*.

Mamy wielkie magazyny, wielkie sklepy, pryncypalne ulice, bogate wystawy. Ale mamy i dzielnice pełne maleńkich nieraz kramików, w których obsługa jest jednej osoby i ta osoba z tego jednak żyje.

Wszyscy biadamy nad ujęciem handlu przez Żydów. Zarzekamy się kupowania w magazynach żydowskich, upatrując w ruchliwej działalności tego nawskroś handlowego szczepu, zatracenie naszych placówek.

Czy bezpłodnym słowom nienależałoby przeciwstawić energicznego czynu?

Któż nam broni wziąć się gorliwie do handlu!

Przed wojną pamiętamy wszyscy jak to rogi, nawet pięknych ulic, były garnirowane kramikami wcale nie pięknymi, przy których stare żydówki sprzedawały wszystko. Owoce, landrynki, chleb świętojański, makagigi (przysmak nielada), zapalki, papierosy, czego tam nie sprzedawały!

Nasze kobiety tego nie umiały. Przyszła wojna i setki *szmuglerek* naszych, rdzennie polskich, katolickich, dowiodło, że mają wyborne zdolności do handlu, do którego z zapalem się wzięły.

Kramiki żydowskie zginęły.

Siedzą nasze kobiety, wprawdzie pewno więcej od siedzenia, jak od nadużyć jadła — tyją, ale nasze kobie-

ty sprzedają po rogach na różnych kramikach, w budkach, pod parasolami kwiaty, owoce, w kioskach gazety, na wózkach zamykanych i wodę sodową i karmelki i handel — idzie.

Czy w każdej dziedzinie nie możnaby próbować tego samego sposobu ratunku?

Tem śmieiej to piszę i to radzę, że mam na myśli kilkanaście placówek handlowych dobrze postawionych i dobrze się rozwijających pod wyłączną opieką kobiet.

Byle nie żałować pracy, byle dobrze rachować, byle skrętnie baczyć na wszystko, byle nie spuszczać się na nikogo, samej, wszystkiego samej dojrzeć, wszystko ocenić, porządek i ład dobrze obmyślić, to niezawodnie rezultat będzie dobry.

Pytałam raz jedną z uczennic Wyższej Szkoły Handlowej, czy nasi chłopcy i dziewczęta, naogół mają zdolności i czy okazują zrozumienie ważności zadań szkoły i wiedzy w kierunku handlu.

— O, tak — odpowiedziała mi. — Są zdolni, chętnie projektują plany przyszłe. Mają nawet zamiłowanie, ale są prawie wszyscy „wielcy panowie”, i to nas właśnie w handlu naszym gubi.

Żyda, stojącego za ladą, wymyśla się, a on się jeszcze kłania.

A my? a u nas?

Wszyscy wiemy, jak to jest.

— Panie, mówię do zarządzającego sklepem, w któ-

rym kupuję trzydzieści lat, czemu dajecie taki żółty cukier?

— Dajemy taki, jaki nam przysyłają.

— Trzeba więc reklamować. Naokoło jest cukier biały...

— My nie zmuszamy naszych klientów, aby u nas kupowali.

Tyle mnie widział. Ale czy nie miałabym słuszności powiadomienia właściciela sklepu, o którym mówię, jak rozmawia z klientem człowiek, któremu powierzono prowadzenie interesu.

Dostałby dymisję, więc nie chciałam pozbawiać go chleba. Dowiedziałam się tylko, że miał własny sklep i zbankrutował.

Nic dziwnego. Uprzejmość to pierwszy stopień powodzenia w handlu.

Wracając do właściwego wątku tego, o czym mowa — gorąco zachęcamy do robienia wszelkich wysiłków w kierunku obejmowania placówek handlowych.

Wszelkie sklepy spożywcze, jak te, które wymagają tylko czystości a nie elegancji przy założeniu, wszelkie małe kramiki, niezawodnie się opłacą, jeśli w nie włożymy dużo starań.

Zbiorowemi siłami trzeba próbować zabiegów o nowe drogi zarobków, bo tylko własna dziś inicjatywa w tym kierunku może i dać pomoc osobiście i powoli opanować handel, który, bezradnie, oddajemy w obce ręce.

L. Kotarbińska.

## GDYBY NAS PYTANO!

Co mówi na temat naszego stanu gospodarczego w kraju pan premier Kościalkowski i pan minister Kwiatkowski, wiedzieć powinna każda kobieta.

Ale powinna także zaznaczyć się i z tem, co pisze p. Tadeusz Uhma w książce pod tytułem „Dajmy Polsce rodzimy kapitał”. Piśze Sz. Autor mianowicie to, że: — W obrocie gotówkowym państwa w r. 1932 suma pieniędzy, która przeszła przez ręce państwa do ich gospodarstw domowych stanowiła ogromną pozycję 8.000.000.000 — wyraźnie ośmiu miliardów złotych.

Miesięcznie stanowi to 666.000.000, sześćset sześćdziesiąt sześć milionów.

Gdyby z sumy tej panie domu zaoszczędziły tylko  $\frac{1}{100}$  (jedną setną), stanowiłoby to miesięcznie 6.666.000 zł oszczędności.

Tak. Istotnie tak jest, o czym nietylko powinna wiedzieć, ale w co musi święcie wierzyć każda kobieta, że żadna najmędrza głowa nie wymyśli warunków poprawy stanu ekonomicznego w kraju, dopóki my kobiety, my gospodynie, my, szafarki codziennych wydatków, my, urodzone administratorki, nie dopomożemy mądrze stosowaną oszczędnością do tego, aby każdy dom rodziny obdarzyć równowagą przychodu z rozchodem.

Wiem z góry, co mi na to każda z pań domu odpowie:

— Nadmierne podatki, wysokie opłaty nauki, książki szkolne, wzrastająca drożyna żywności. A doktor, apteka, a jakatka odzież...

A przy tem zmniejszaniu pensji!...

Gdyby nas pytano, to kto wie, czy nie dałybyśmy dużo prak-

tyczniejszej rady, aniżeli ta bolesna i beznadziejna amputacja dochodu. Zmniejszenie pensji, emerytury, redukcja pracy i t. d.

Zgoda, skoro inaczej być nie może. Ale czyby nie można zmienić formy?

Mianowicie: ten procent, który zostaje odcięty z dochodu, wpisywać na moją własną książeczkę oszczędnościową, z której ja nie mogę nic podnosić w czasie ustanowionym przez odnośną władzę, choćby to miało trwać lat dziesięć.

Z tych sum tworzyłyby się kapitał obrotowy, niezbędny Rządowi narazie. Tym sposobem powoli dochodziłoby się do wyrównania deficytów i równowagi. My wszyscy, świadomi, że kiedyś to, co się teraz traci, zwróci się, z lżejszym sercem, bo z nadzieją, będziemy odmawiać sobie najniezbędniejszych wydatków już bez uczucia krzywdy.

Życie nasze — straci dużo uroku i wdzięku. Impulsywność w ofiarości, która jest u nas bezprzykładna — zmaleje. Ale, dopiero wtedy nauczymy się oszczędności i oszczędzania, o czym dziś jeszcze w Polsce mało mamy świadomości, a o czymby nam mówił ciągle dorost książeczki i to może byłby jeden z największych dorobków — w sprawie, w której nas o głos nie pytano, ale która każdą rodzinę polską w tej chwili, więcej niż kiedykolwiek, zajmować musi.

L. K.

## BEZSENNOŚĆ wyniszcza organizm

a powstaje często wskutek zaburzeń układu nerwowego. Roślinne środki nasenne nie wywołują stępienia i zaniku wrażliwości nerwów oraz nie powodują przyzwyczajania. Ziola Magistra Wolskiego „Pasiverosa“ zawierają znaną roślinę egzotyczną, o wybitnych własnościach uspokajających Passiflorę (Kwiat Męki Pańskiej). Łagodzą one zaburzenia systemu nerwowego (nerwice serca, bóle i zawroty głowy, uczucie niepokoju, histeryje) i sprowadzają krzepiący, naturalny sen. Ze względu na swe łagodne działanie, pozbawione szkodliwych wpływów ubocznych, mogą być stosowane, bez obawy przyzwyczajania przez wszystkich bez różnicy wieku.

Ziola ze znakiem ochronnym „Pasiverosa“ do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).

Wytwórnia Magister E. Wolski, Warszawa, Złota 14, m. 1.

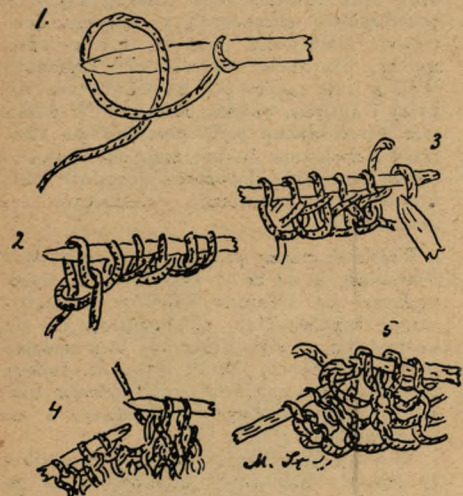
przy  
**hemoroidach**  
(KRAWIENIE, SWĘDZENIE, PIKIECIE, BÓLE)  
**CZOPKI  
i MAŚC**  
**„VARICOL”**  
GASECKIEGO  
DO NABYCIA W KAŻDEJ APTECE

## ROBOTY NA DRUTACH

Robota na drutach jest łatwa i nie męcząca, można nawet nabrać takiej wprawy, że robi się ją czytając przytem ciekawą książkę.

Ściegów mamy tylko cztery rodzaje, a to nabieranie na prawą i na lewą stronę, oraz przybieranie i ujmowanie oczek. I to już wszystko, a desenie powstają wskutek odpowiedniego łączenia tych czterech sposobów wykonania. Zaczynając robotę, ujmujemy nić w lewą rękę, robimy pętlę i nawlekamy ją na drut, trzymamy w prawej dłoni.

Następnie nabieramy dalsze pętle. Pętle te nazywamy oczkami. Gdy już mamy na drucie dostateczną ilość oczek, przekładamy go do lewej ręki, zwracając końcem w prawo i drugim drutem,



Robota na drutach  
(rys. M. Stefkowa).

trzymanym w prawej ręce, przerabiamy oczka, przewlekając przez nie nić, przewieszoną przez wskazujący palec lewej ręki. Powstaje wskutek tego nowe oczko, spływające na drut w prawej ręce. Nazywa się to robota „na gładko”.

Sposób drugi: nabieramy nić na drut prawy, wsuwając go w oczko z góry do wnętrza i wyciągamy z niego nić, tworząc nowe oczko, mówimy wówczas, że robimy „na wywrót”.

Ujmowanie oczek powstaje w ten sposób, że przeciągamy nić przez dwa oczka razem. Wskutek ujmowania zwęża się robota odpowiednio do formy.

Przeciwnieństwem do ujmowania oczek jest dodawanie ich, co uskuteczniamy w ten sposób, że nić, łącząc dwa oczka w poprzednim rzędzie, nabieramy na drut lewy i przewlekamy związującą nicią jak zwykłe oczko. Wskutek tej czynności rozszerza się cała robota, musimy jednak wykonać to dosyć ciasno, gdyż wskutek przybrania jednego, powstanie w tem miejscu otwór, szpecący gładką całość.

Wyciąwszy formę z grubego papieru, robimy w powyższy sposób kamizelkę, ozdabiając ją kolorowym szlakiem na rękawach przy ręce i na dole kamizelki.

Podajemy wzór takiego szlaku kolorowego, jak robią go góralki w Gorganach, wplatając z lewej strony kolorową włóczkę i przeciągając ją od jednego oczka do drugiego według każdego wzoru krzyżkowego. Jeden krzyżek we wzorze, to jedno oczko. Takie wykończenie kamizelki lub sweterka dodaje wdzięku i lekkości.

Marja Stefkowa.

## FUTRO DLA PANI, PALTO DLA DZIEWCZYNKI



Futra są stale w modzie. Coraz więcej ukazuje się gatunków w handlu. Uzależnione to w zupełności od środków finansowych, bo nie każda z pań może sobie pozwolić na breitszwance, lutry, karakuly lub popielice. Junaty np. doskonale zastępują popielice i niemniej są trwałe.

Dzisiejszy fason pokazuje nam modne kloszowe palto futrzane z szerokimi rękawami, które w tym roku aż do przesady robią szerokie i bufiaste. Na kołnierze bardzo używane są lisy. Całości dopełnia mufka, którą osobno podajemy i torebka, która u modnej pani powinna być wydłużona.

Kapelusz otoczony woalką, co jest niemal koniecznością dla elegancko ubranej kobiety.

Dajemy też palto dla dziewczynki, niekrępujące ruchów — pod spodem może być sportowe wełniane ubranie, mogące służyć na ślizgawkę, lub inne zimowe sporty. Całości dopełnia czapeczka wełniana, która powinna być w tym samym kolorze co wełniane ubranie.

El. Kotwicz-Onichimowska.

## CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

**Wiedzieć pożytecznie**, że kursy katechetyczne odbywają się w Katolickim Związku Polek. Pierwszy wykład zaszczylił swą obecnością J. Em. Ks. Kardynał Kakowski. Adres Związku: Krakowskie Przedmieście 36.

**Wiedzieć trzeba**, że Ministerstwo Skarbu wydało okólnik w sprawie kontaktu pomiędzy władzami skarbowymi a podatnikami.

Zarządzenie min. skarbu żąda ułatwienia dostępu podatnikom do naczelników urzędów skarbowych.

Ponieważ na prowincji okręg urzędu skarbowego obejmuje znaczne przestrzenie, odległe od siedziby urzędu, wprowadzone

będą objazdy naczelników w odstępach czasu, o czym podawane będą zgóry do wiadomości dzień przyjazdu i miejsce przyjęć naczelnika. Nadto min. skarbu nakazało naczelnikom urzędów skarbowych brać udział w zjazdach organizacyj gospodarczych, gdzie omawiane są sprawy podatkowe.

**Wiedzieć trzeba i objaśniać** innych należy, że Polski Czerwony Krzyż organizuje dla kobiet, obywaterek Warszawy, kursy ratownictwa w wypadkach życia codziennego, pielęgnowania chorych w domu i ratownictwa przeciwgazowego wraz z wykładami z anatomji i fizjologii oraz nauką bandu-

żownictwa. Bliższych wiadomości udziela P. C. K. — Trębacka 11 m. 12. Wykłady odbywać się będą w lecznicy P. C. K. przy ul. Wilczej.

Zarząd okręgu warszawskiego pragnie kursem tym zainteresować szczególnie te osoby, które, rozporządzając czasem, pragnęłyby poświęcić się pracy społecznej i wzmoc akcję popularyzatorsko-higieniczną P. C. K. wśród ludności Warszawy. Pracy w tym kierunku nie brak dla chętnych.

**Wiedzieć użytecznie**, że na VI Zjeździe historyków, który się odbył w ślicznym Wilnie, podjęto sprawę badań nad *działalnością i historją kobiety w Polsce*. Spra-

wa ta już była poruszana przed dwoma laty na Zjeździe historyków w Warszawie przez p. dr. Łucję Marewiczową, która od wielu lat prowadzi studja badawcze w tej dziedzinie. Mieliśmy piękne postacie królowych, dzielne kobiety kresowe, wiecznie czujne — na granicach kraju. Emilję Plater z bronią w ręku walczącą o kraj. Mieliśmy zastępy nauczycielek z Klementyną z Tańskich Hoffmanową, Marją z ks. Czartoryskich księżną Wirtemberską, Elżbietę z hr. Krasińskich Jaraczewską. Później całe zastępy pisarek, którym przewodziła Narcyza Żmichowska, w kółku „Entuzjastek”. Dalej, bliższe nam, W. Marrene, Ostoja, Z. Mellerowa i jeszcze bliższe: Orzeszkowa Eliza. Rodziewicz Marja, W. Zyndram-Kościałkowska, Eugenia Zmijewska i wielka poetka Marja Konopnicka. Nareszcie genialna uczona, Marja Skłodowska-Curie, która, odkryciem radu, rozniosła po całym świecie imię polskiej kobiety.

Słusznie też p. Helena Witkowska podejmuje myśl napisania „Historji kobiety w Polsce”, o czem mówi w swym artykule

sprawozdawczym „Kurjera Warszawskiego” ze Zjazdu historyków w Wilnie. Życzyć Jej należy, aby słowo stało się ciałem, bo istotnie mamy materiał pełen chluby w tej dziedzinie. Polki może najwcześniejszej dosięgły duchowo szczytów ofiary, poświęcenia i zrozumienia służby dla wielkich spraw z pominięciem własnych ambicji. Równouprawienie dusz same zdobyły.

*Wiedzieć trzeba, że zbieranie książek wymaga systematycznego ich szeregowania. Domowe księgozbiory grzeszą zawsze brakiem systemu, stąd wieczne szukanie odczytanych tomów, stąd bezład zabierający wiele czasu wtedy, kiedy ktoś chce do danej książki powrócić lub komuś usłużyć ją wypożyczyć. „Pogotowie Bibliotekarskie” Polskiej Macierzy Szkolnej, Krakowskie Przemieście 7 m. 4, tel. 656.51, ma właśnie na celu niesienie fachowej pomocy właścicielom bibliotek prywatnych w formie porad bezpłatnych w sprawie prowadzenia bibliotek: to znaczy: podział książek, znakowanie ich, ustawianie w szafach bibliotecznych, instrukcje dla dzieci i młodzieży — jak powinno się prowadzić biblioteki małe, słowem wprowadzać ład w te szeregi, które dotąd najczęściej bywają u nas bezładne.*

Do bibliotek zaniedbanych Polska Macierz Szkolna ma w „Pogotowiu” osoby mające doskonałą, systematyczną w tym zakresie wiedzę i za małym wynagrodzeniem podejmują się chętnie systematycznego uporządkowania każdego księgozbioru.

*Wiedzieć pożytecznie przy nadchodzącej zimie, że Koło Emerytów przy Zw. Prac. Samorządowych m. st. Warszawy przyjęło i zaleciło dostawę węgla dla pp. emerytów po cenie zł 44,60 za jedną tonnę loco pwnica z kopalni dąbrowieckich i górnośląskich, nawet z wypłatą w ratach miesięcznych. Biuro dla porozumienia się z „Ko-*

palnianą Spółką Opałową”: Warszawa, Szopena 16, tel. 9.45.18.

*Wiedzieć należy, a pamiętać trzeba, że ośm milionów Polaków mamy poza granicami naszego państwa i że utrzymywanie, bodaj z jednym, korespondencji, to już wielkie ma znaczenie. Zasłużony Związek, otaczający opieką ważną sprawę łączności z Polakami z zagranicy, ustawicznie dąży do utrzymywania najbliższych z nimi stosunków.*

*Wiedzieć miło, że urządzenie wnętrza domu Chopina w Żelazowej Woli postępuje, a odezwa, którą rozesłała grupa ludzi dobrej woli, znalazła echo i napływają dary przedmiotów związanych z okresem dzieciństwa i młodości Chopina, oraz z rodziną hr. Skarbków, właścicieli Żelazowej Woli w tym czasie, gdy mieszkali tam Miłkołaj i Justyna, rodzice Mistrza. W domu tym zgromadzone będą pamiątki po Chopinie i stworzone będzie małe muzeum, do czego oczywiście dopomoże ofiarność tych, którzy są w posiadaniu dokumentów tej przeszłości.*

*Wiedzieć muszą matki mieszkające poza Warszawą, że od dn. 1 września r. b. wprowadzono na kolejach nowy wzór legitymacji uczniowskich, upoważniających do korzystania z ulgi kolejowej bez specjalnych zaświadczeń. Dn. 1 listopada, podług pierwotnych zarządzeń, minął termin używania dotychczasowych legitymacji i zaświadczeń.*

Ze względu na to, że nie wszystkie szkoły zdążyły zaopatrzyć uczniów w te legitymacje, min. komunikacji przesunęło termin ważności dawnych legitymacji do 15 stycznia 1936 r. Do tego czasu ulgi będą udzielane zarówno na podstawie legitymacji nowego wzoru bez zaświadczeń i na podstawie dotychczasowych legitymacji, ale łącznie z zaświadczeniem szkolnym, jak było dotychczas.



**PROSZKI**  
MIGRENO-NERVOSIN

**Kogutek**

WZDZIAŁANIE:  
**GRYPA, PRZEZIĘBIENIE**  
**BOLE GŁOWY, ZĘBÓW** i t.p.

ŁADAJĄC ORYGINALNYCH PROSZKÓW ZN. FABR. L. W. KOGUTKIEM

PAŹRZCIE **JAKIE PROSZKI WAM DAJA**  
GDYŻ SA JUŻ NAŚLADOWNICTWA.

OR. ORYGINALNE PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN” Z KOGUTKIEM

**SA TYLKO JEDNE**  
I ZAWSZE Z RYSUNKIEM KOGUTKA

PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN” SA TEŻ I W TABLETKACH

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

*Pannie Jadwidze M. w Olkusz. Statek szkolny „Dar Pomorza”, na którym nasi marynarze przebyli podróż dookoła świata, na samym Oceanie Spokojnym przebywał 41 dni, wśród których nie spotkali ani jednego okrętu. Widzieli natomiast stado delfinów i wynurzające się z fal często ogromne ciała wielorybów. Wszyscy wrócili do Gdyni zdrowo, reprezentując w nieznanych portach godnie naszą polską banderę. Na statku „Dar Pomorza” było sześćdziesięciu pięciu morskich kadetów. To nie żarty! Szkoła marynarska w Gdyni ma pierwszorzędną urządzenie i wszelkie pomoce naukowe.*

*P. W. R. we Włocławku. Koło Miłośników Ogrodnictwa, rozpoczęło kursy ogrodnictwa jeszcze w listopadzie. Sądzimy, że listownie otrzymać Sz. Pani może potrzebne informacje. Adres: Aleja Jerozolimska 20. Dziś, wobec pięknego zamięłowania zdobienia naszych siedzib, zielenią i kwiatem, konieczne są, choćby ogólne, wiadomości w zakresie nauki ogrodnictwa.*

*P. Marji Dob... w Skolimowie. Wszystko dziś jest modne. Wąskie i szerokie kłozowe suknie, półkrótkie i długie okrycia, krótkie futrzane żakiety i futrem okładane palta. Małe kapełuski, czapeczki, berety, słowem można powiedzieć, to modne, w czem do twarzy i do figury.*

*P. M. Wiel... w Wiązowni. Właśnie dlatego, że coraz mamy mniej, oszczędność musimy posuwać do największych granic. Oczywiście bez wpadania w przesadę i chronienia się od skąpstwa, ale ciągle z tem hasłem: „czas przetrzyma potrzebę”, bo jednak wiemy, że bez wielu rzeczy obchożda się ludzie ubożsi od nas i żyją, więc i my żyć możemy, bez nowego kapelusza, lisa, czy innego ryśia, woalki, żabotu, strojnej torebki i tym podobnych rzeczy. Są one miłe, ani słowa, i im ładniejsze — tem miłsze, ale, oczekujemy od łaskawej Pani odpowiedzi na to „ale” — właśnie. Za miłe słowa listu — serdecznie dziękujemy.*

*P. Hannie M... „miłośniczce roślin”. Każda roślina niemal zniesie wszelkie warunki mieszkaniowe, byle się starannie z nią obchodzić. Przepis najważniejszy: trzeba ją kochać! A potem dla pewności, zajrzeć do książeczki opracowanej przez p. Saryusz-Stokowską, w której znajdzie Pani leki i na szkodników, powodujących choroby roślin i przepisy wszelkie: jak i kiedy podlewać, gdzie stawiać roślinę, jaką winna mieć temperaturę i t. d. Książeczka kosztuje 90 groszy, nabyć ją można w Tow. Wyd. „Bluszcz”, Świętokrzyska 17.*

## CHORE PŁUCA

### osłabiają organizm

Leczenie chorych płuc polega na stworzeniu takich warunków, aby zdolności obronne organizmu zostały odpowiednio wzmocnione i wykorzystane.

Zioła Magistra Wolskiego „PULMOSA”, zawierające niezmiernie rzadką roślinę chińską Schin-Schen, stosują się przy kaszlu, zaflegmieniu, potach i stanach podgorączkowych, przynosząc ulgę. Zioła ze znakiem ochronnym „Pulmosa” do nabycia w aptekach i drogerjach (składach aptecznych).



**ZADAC WSZEDZIE**

**NAJWYDAJNIEJSZE**  
**NAJTRWAJSZE**  
**IDEALNE w UŻYCIU**  
*to nieci do*  
*cerowania i szycia*

**TRZY LILJE**



# HUMOR I SATYRA

## KRAKOWIAKI B. P. ARMJI AUSTRYJACKIEJ

A w tym naszym pulku  
To się dobrze żyje,  
Prowiantowy szperkę,  
Żołnierz ma pomyje.

Na kolację lura,  
Z karaluchem na dnie,  
Bo intendentura  
Każy kęsek kradnie.

Żołnierz wszystko zniesie,  
Siedzi niby trusia,  
I choć płakać chce się,  
Śpiewa „husia — susia”!

A w tym naszym pulku  
Wszystko jak należy,  
Pan kapitan Cwybel  
Musztruje żołnierzy.



Z pochodzenia Hiszpan,  
Z Kołomyi rodem,

Pulkownika mamy,  
Nie widział wojenki,  
Dostał pulk przez damy,  
Szarżę od stryjenki.



Nic go nie poruszają  
Żołnierskie bólczki,  
Zajęty swą tuszą  
I „całuję rączki”.

Kiedy psa omija,  
To pies zaraz szczeka:  
Rozumna bestyja,  
Czuje, że to „C. K.”\*).

A w tym naszym pulku  
Wesoło też bywa,  
Kiedy się zaczyna  
W polu ofensywa.

Żołnierz z karabinem  
Idzie do ataku,  
Pan kapitan Cwybel  
Leży z trwogiem w krzaku:

„Po jakimu licha,  
Mam nadstawiać głowę,



Zrzucił dawny chatą,  
Obciął sobie z brodem...

Polskość swą podkręśla  
W każdym swoim czynie;  
Nawet gdy wymyśla  
To od „polskich szwynie”!

Lepiej szedzieć cicho  
W komysje kasowe.  
Oj da dana waj mi”!  
Jan Marcińczyk.

\*) „C. K.” — cesarsko-królewski.



**KRZYWDZI SWĘ DZIECKO**  
matka, odmawiając mu przez niestuszną  
oszczędność jedynej specjalnej dla dzieci,  
śmacznej, pomarańczowej pasty do zębów  
**BEBEDONT SZOFMANA**  
który usuwa ciemny nalot i zielony osad z zębów.  
Dziecko nie znosi mięty!

## MAŁY RADJOTA.

Mały Karolek jest nad wiek rozwinięty.  
Umie obchodzić się z aparatem radjowem  
i ciągle przy nim manipuluje. Raz dziadzio Karolka zasnął w fotelu po obiedzie i przytem chrapał wyjątkowo głośno. Karolek podchodzi do dziadzi i zaczyna ruszać jego guziki od kamizelki.

— Zostaw! — strofuje go matka — Co robisz? Obudzisz dziadzia.

— Ja chcę tylko złapać jakąś inną stację.

## PUNKTUALNOŚĆ.

Czekam już na mego męża od godziny ósmej, teraz już jest kwadrans na 9-tą, a jego ciągle jeszcze niema.

— A kiedy pani się z nim umówiła?

— Na godzinę szóstą.

## PRZYJACIELSKA RADA.

— Co mam robić, żeby mój mąż wieczorem siedział w domu?

— Wychodź gdzieś!

## SPRYTNA SŁUŻĄCA.

— Czy Marysia wrzuciła list, który Marysi dałam, do skrzynki?

— Tak.

— A znaczek Marysia nalepiła?

— Nie, ale tak ostrożnie wrzuciłam list, że nikt nie widział!

## POWRÓT DO MŁODOŚCI.

Edzio ożenił się. W miesiąc po ślubie spotyka znajomego, który go pyta:

— Jakże się czujesz w małżeńskim stanie?

— Doskonale! Wprost jestem odmłodzony!

— Jakto?

— Tak. Znowu muszę palić papierosy pokryjom...

## OFIARA MIŁOŚCI.

— Co to jest? Nasza służąca codziennie otrzymuje polecane listy!

— Bo ona kocha się w listonoszu i codzień pisze do siebie list polecany, byleby tylko ukochany przyszedł!

## NIWYBREDNY.

Do baru wchodzi doktor, specjalista od przemiany materji.

— Co szanowny pan sobie zamówi? — pyta kelner.

— Wszystko mi jedno, byle było 50 gramów białka, 65 gramów tłuszczu, 480 gramów węglowodanów i 0,00015 gr. witamin A i C.

## ODCIĘŁA SIĘ.

— Wszystko zło, proszę pani, pochodzi od kobiet-

— Tak, nawet i mężczyźni!

## MATEMATYK.

Lekcja arytmetyki. Nauczyciel zadaje pytanie:

— Jeżeli dom ma pięć pięter, każde piętro składa się z dwudziestu schodów, to po ilu schodach trzeba wejść, żeby się dostać na piąte piętro?

Klasa milczy. Po chwili podnosi palec Wacek, najmniej pilny uczeń.

— Patrzcie, dzieci! — mówi nauczyciel. — Wacek wie! Wacek, który się najgorzej uczy, a wie! Nie wstyd wam? No, mów, Waciu, mów! Po ilu schodach?

— Po wszystkich, panie psorze!

Z SZOPKĄ

Nie mógł się Władek doczekać, kiedy się ta szopka zacznie robić. Starszy brat, Franek, co już ojcu przy murarce pomaga, powiedział kiedyś: — Ej, ciężka ta bezrobotna zima dla murarza, dobrze, że Święta nadchodzą, to i przy majstrowaniu szopki roboty trochę będzie, a potem i grosza się nieco zarobi, z nią wędrując, — a potem, zwracając się do Władka, dodał łaskawie: — a i ty, pędraku, w tym roku przydać się już możesz, przecie z ciebie chłop rośnie... i pokreślił Władka żartobliwie za ucho. Piezszcota to była dotkliwa, aż Władkowi świeczki w oczach stanęły, ale mimo to uszczęśliwił go ten dowód łaski starszego brata.

I wreszcie się zaczęło. Gdzieś tak w połowie listopada, zaczął Franek przesiadywać na poddaszu, strugając patyki i heblując deski, bo go matka z izby wyrzucała, że niby śmieci okropnie. Potem zjawiły się kawałki kolorowego papieru, przyszedł Antek, kolega Franka, co to umiał gwizdać jak kos, każdego zmyślnie naśladował, a malował tak pięknie, że aż Władek z zachwytem usta otwierał. Zawołali Władka do pomocy, kazali mu wycięte zgrabnie przez Antka kolorowe papierki w różnych miejscach na szkielecie drewnianym szopki naklejać, niebardzo się początkowo Władek orientował co to z tego będzie, ale dzień za dniem z tajemniczego chaosu wyłaniać się zaczęły kształty coraz widoczniejsze i oto nagle jednego dnia rozjaśniała przed zachwyconymi oczami chłopca — szopka wspaniała. Wysoka była jak Władek, a może i wyższa jeszcze. Z dwu stron smukłe wieże z czerwono podklejonymi okienkami, a między nimi scena z deski, powycinanej w podłużne szpary, by można figurki przesuwać. — Panie Antek — zawołał Władek — a czego ta tylna ściana nie dopasowana, odstaje jakoś? — Ale! odstaje — roześmiał się Antek — to przecie poto, żeby dekoracje można zakładać. — Ojej, to będą i dekoracje! — A jakże — uśmiechnął się dumnie Antek. — Trzy będą. Jedna na pierwszą część, dla pasterzy, druga w herodowym zamku, a trzecia, to na śmierć Heroda! jeszcze tylko pannę Felcię o kurtynę poprosimy i będzie wszystko w porządku — dodał i zaczął delikatnie przyklejać na górze nad sceną na łące z zielonej bibułki przeróżne zwierzęta z papieru, pasterzy, Trzech Króli, a w głębi umieścił stajenkę betlejemską. Ponad nią zaś umieścił wspaniałą kopułę, w pośrodku której poziomo umieszczoną gwiazdę można było dowolnie obracać. A wszystko lśniło od złotej i srebrnej farby.

— Kurtynę — powtórzył Franek — dobrzeby było, żeby jeno Felka chciała, prędzej matka możeby... — Już ty się nie trap — uspokoił go Antek — matka i czasu niema i choć szyć umie, ale już nie to, co panna Felcia, co u prawdziwej krawcowej szyje. — Ano, to próbuj z nią — westchnął Franek, który, choć bardzo się z siostrą kochali, niezawsze był z nią w zgodzie i teraz właśnie nie chciała patrzeć na niego siostrzyczka. Ale się jakoś wszystko udało. Szopka gotowa schła pomału na poddaszu, a robota cała przeniosła się do kuchni. Przystrajano teraz kukielki, matka i Felcia, gdy wróciła z roboty, szyły stroje królewskie, pasterskie i jakie tam były potrzebne, a mężczyźni doklejali kijki do posuwania kukiłek, przyklejali ozdoby. Antek wymalował takie wąsy Twardowskiemu i hetmanowi Heroda, że już chyba piękniejszych na świecie nie było. Teraz malował dekoracje, gwizdząc wesoło, coraz wpadała któraś koleżanka Felci, trochę pomogła, trochę się pośmiała, Franek zrećnie umocowywał fi-

gurki na patyczkach, nawet ojciec pomagał w tym gwarze. A Władek! Wszystko robił i nic. Zawsze komuś był potrzebny. A to nici przynieść, a to kleju zagrać, a to nóż naostrzyć... i tak dzień za dniem schodził. Kiedyś Felcia wpadła wesoło do izby i, objawszy oczyma pracowitą gromadę, wykrzyknęła — a co ja mam? — i powiewała czemś różowem, niby mgła ranna, niby płatek róży, Władkowi aż dech zaparło, nigdy takich cudności nie widział. — Suknię dla królowej Herodowej! — wykrzyknęła Felcia z triumfem — dziś taką suknię skończyliśmy dla jednej pani, dużo resztek zostało i jedną mi szefowa dała. Ale na tem nie koniec, patrzcie — i wyciągała przeróżne gałganki — porządki dziś były w pracowni, to pozbierałam co do wyrzucenia i patrzcie, ile tego, to będzie dla kominiarczyka, a to dla strażaka, a to dla krakowianki... — wylczyła. Władek jednak widział tylko ten pierwszy gałganek i marzył, by go dotknąć, ale wszelkie próby nie zdały się na nic. Siostra wytrwale odpędzała go od szmatek. Wreszcie jednak musiała odczuć ciche marzenie Władka, bo nagle zawołała: chodź no tu, Władek, pomożesz mi rozdzielać te gałganki, tylko umyć ręce.

Aż wreszcie pewnego dnia wszystko było gotowe. Teraz zrobimy próbę generalną, powiedzieli chłopcy — a rodzice, Władek i Felka będą robić publiczność. W uroczystym skupieniu znieziono szopkę z góry, w uroczystym skupieniu zajęli wszystkie miejsca, zeszło się trochę sąsiadów. Odsłonięto szopkę, ciche: aaach... zachwytu towarzyszyło temu. I teraz zaczęło się przedstawienie. Odśpiewano kolędę, kręcąc żywo gwiazdą. A potem odsłoniła się kurtyna i rozbrzmiewały chóry anielskie, przerwani początkowo, a potem przez anioła uspokojeni pastuszkowie wybierali się do Betleem, śmieszny żydek tańcował. Twardowski na kucię jeździł. Król Herod dumny kazał mordować wszystkie dzieci, królowa płakała, śmierć głową Herodowi ścinała, dziadek prosił o pieniądze, Krakowiaczy i górale tańczyli, kominiarz, strażak, żołnierz śpiewali swe piosenki, tyle było cudowności, aż Władka oczy z patrzenia rozboleły i choć nieraz był potem w teatrze prawdziwym, nigdy żadne przedstawienie nie wydało mu się tak wspaniałe. Ale i na mieście miała szopka powodzenie, gdy podczas dni świątecznych pojawili się z nią na Rynku, wołano ich tu i tam, że ledwie nadążyć mogli. Franek i Antek nieśli szopkę, Władek niósł skrzynkę z figurkami. Wchodzili do ciepłego mieszkania, zwykle w drzwiach przedpokoju rozstawiali swój teatr i zaczęli przedstawienie. Władek figurki podawał. A niełatwa to była praca, tak właśnie utrafić, by w porę właściwą kukielkę podać. Dzieci z przeciwnej strony klaskały w rączki i śmiały się, a jeśli chłopcy widzieli, że się przedstawienie podoba to zwykle Antek jeszcze coś ponadto pięknie zagwizdał lub zaśpiewał. Często prócz zapłaty i coś im zjeść dano. Wracali do domu zadowoleni, z groszem w kieszeni. A Władkowi śniła się po nocach nigdy nie kończąca się szopka świąteczna.

H. Rostańska-Choynowska.

WESOŁY KĄCIK.

— Mamusiu! — pyta Adaś — od czego jest ten kluczyczka ma-lutki. — Od skrzynki na listy, syneczku. — A jak dorośnie — zastanawia się Adaś — to pewnie będzie kluczem do drzwi?

KOLEDA

MOJA SKRZYPKA

Mam ci ja skrzypczki  
Z lipowego drzewa  
Skrzypczka ta moja  
Jakby żywa śpiewa.

Jak mi jest na duszy —  
Tak skrzypczka nuci:  
Rozśmiej się skocznie,  
Łzami się zasmuci.

Wyśpiewa co czuje,  
O czem marzę, roję,  
Bo ja w tę skrzypczkę  
Serce wkładam swoje.

H. R. Ch.

Dzieciąteczko, Jezusiczku

Maleńki —  
Przychodzimy do Ciebie dziś  
Do stajenki.  
Dary serca Ci niesiemy  
Naszego,  
Co w niem tylko mamy sami  
Dobrego.  
Niesiemy Ci naszą wiarę  
Gorącą  
I nadzieję łuski Twojej  
Kwitnącą.  
I miłości pełne serca  
Niesiemy,  
Duszą całą, Cię, Jezusku,  
Pragniemy.

H. R. Ch.

JAK SIĘ RENIA MIŁA  
W NIEDŹWIEDZIA BAWIŁA

Przysiadł niedźwiedź na podłodze,  
Oczka zakrył, sapie srodze...  
Oj! Jak tylko się przebudzi —  
To pozjada wokół ludzi —  
Uciekajcie szybko dzieci,  
Bo tuż straszny niedźwiedź leci.  
Ach! już w łapy dziecko chwytą...  
Ono: zjesz mnie — z twogą pyta —  
Daruj życie; — kornie prosi.  
Niedźwiedź oczka w górę wznosi,  
Buzię w uśmiech rozpromienia:  
— Nic się nie bój! To jest — Renia!

H. R. Ch.

STO PIĘĆ LAT TEMU!...

**SZARADA.**

Dziś Jedenasta-dziesiąta i piąta mendel-trzynaste-czternaste oblicze przybiera, stroi siedem i wewal krząta, by godnie uczcić pamiętną rocznicę, gdy wrogom płonął kawał polskiej ziemi pod jedenaście-dwanaście-pierwszemi. Gdy się ucisku zebralo za wiele, gdy pogwałcono skarb tradycji świętej, dziesiątmi-czwarcet wolności czciciele pięć-trzy-czternaste, zmócili farniente, krzesząc piętnaście wspaniałego i dziewiątego, którego bacznie polskie warty strzegą. Dwanaście-dziesiąt dziś się nieustannie, trzynaście-siedem-osiem gwiazd dalekich, spawając serca w strzelistej Hosannie, na którą przeszłe złożyły się wieki, z dni powszedniością dzisiejszych zmieszane, trzy-dwa-pierwszemi rzucanych na szaniec. 'Czas jedenaście-osiem-dziewiątego po żniwnych znojach niechybnie nadchodzi, Nike przeszłości bytu Państwa strzegą i po początków ciężkich korowodzie los sześć-dwa Polsce: bliskie już są starty okrętów z własnej jedenastej-czwartej. „Kasta“ (czł. Kl. Sz.).

**SZARADKA**

Drugie — to nazwisko znane i w krzyżówkach używane. Każdy wspak raz-trzy, że w świecie jest to postać sławna przecie i wspak raz-trzy-trzecia! Wreszcie Całość — imię to niewieście.

T. Sobiecki.

**REBUS-PRZYSŁOWIE**



Treścią powyższego rebusu kołowego jest przysłowie trzywyrazowe o literach początkowych: S. s, p. R. Przeworski.

**REBUS**



Treścią rebusu jest zdanie złożone z czterech wyrazów. M. Rossa.

Za rozwiązanie powyższych zadań (lub choćby jednego), przeznaczają Redakcja do rozlosowania kilka nagród książkowych. Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy.

**KĄDZY SZARADZISTA**

powinien zaopatrzyć się w „Tablicę alfabetyczną” o bogatej treści doborowych zadań, opuścić już prasę. Prenumerata kwartalna tylko 2 zł. Konto PKO. nr. 2048, lub przekazem rozrachunkowym. Adres: Klub Szaradzystów — Warszawa, Żulińskiego 7 m. 10.

**„ROZRYWKI”**

(organ Klubu Szaradzystów) nr. 36 (grudniowy) o bogatej treści doborowych zadań, opuścić już prasę. Prenumerata kwartalna tylko 2 zł. Konto PKO. nr. 2048, lub przekazem rozrachunkowym. Adres: Klub Szaradzystów — Warszawa, Żulińskiego 7 m. 10. Pojedyncze numery do nabycia w kioskach „Ruchu”, żądajcie bezpłatnych numerów okazowych!

**ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU PAŹDZIERNIKOWEGO 1935.**

**WIROCIĄGÓWKA:**

Na stulecie śmierci Kazimierza Brodzińskiego.

**ZŁOTA JESIEŃ (szarada):**

Wysoko lecaj nici babiego lata.

**JESIEŃ (szarada):**

Idzie jesień pogrążona w ciszę.

Nagrody książkowe otrzymują: p. Czesław Błażejowski z Warszawy i p. Janina Rojek z Rogoźna.

Dnia 30 października 1935 roku odbyło się w P. K. O. drugie publiczne premjowanie książeczek na wkłady oszczędnościowe premjowane Serji III-ciej.

W premjowaniu brały udział książeczki, na które wniesiono wszystkie wkładki za ubiegły kwartał w terminie do dnia 2 października 1935 roku.

Premje po zł 1000 padły na numery: 181.939, 185.840.

Premje po zł 500 padły na numery: 151.420, 160.473, 165.573, 174.963, 175.753, 178.144, 181.329, 181.427, 181.787, 185.391, 186.744, 196.109.

Premje po zł 250 padły na numery: 152.916, 153.478, 153.931, 154.415, 154.580, 155.405, 160.852, 161.830, 165.141, 165.155, 165.287, 167.656, 167.814, 167.926, 169.486, 169.868, 170.101, 170.416, 170.541, 172.332, 176.798, 177.765, 180.889, 181.341, 181.401, 181.546, 182.789, 183.430, 186.387, 188.686, 189.033, 190.834, 193.855, 197.108.

Premje po zł 100 padły na numery: 150.435, 151.224, 151.406, 151.574, 151.606, 151.630, 151.734, 152.031, 152.098, 154.284, 155.221, 155.245, 155.675, 155.809, 155.823, 156.607, 156.687, 157.101, 157.628, 157.764, 158.864, 158.882, 159.281, 159.710, 160.002, 160.883, 160.901,

161.971, 162.005, 162.094, 162.152, 162.374, 162.442, 162.644, 163.555, 163.624, 163.717, 163.774, 163.902, 164.643, 164.975, 165.235, 165.258, 165.310, 165.877, 166.432, 167.148, 168.365, 169.208, 169.244, 169.952, 170.308, 171.689, 172.039, 172.154, 172.615, 172.910, 173.405, 173.545, 174.566, 175.135, 175.558, 175.613, 175.725, 176.159, 177.173, 177.193, 177.350, 177.416, 177.549, 178.021, 178.838, 179.367, 180.298, 180.772, 181.313, 181.779, 182.922, 183.042, 183.129, 184.612, 184.705, 185.943, 186.320, 186.493, 187.580, 187.606, 188.611, 189.134, 189.889, 190.682, 191.414, 192.011, 192.233, 192.485, 192.568, 192.625, 192.664, 192.799, 193.145, 193.455, 194.472, 194.710, 195.376, 196.193, 197.141, 197.443, 198.485, 198.890, 199.354, 199.412.

Ogółem padło 159 premij na łączną kwotę zł 27.600.

Zainteresowani wkładcy zostaną o powyższym powiadomieni listownie. Należy zaznaczyć, że zasadą wkładów oszczędnościowych premij Serji III jest stały wzrost liczby premij w miarę wzrastania wkładów na książeczce, przyczem po otrzymaniu premij książeczki nie tracą swej wartości, lecz nadal biorą udział w następnych premjowaniach pod warunkiem regularnego opłacania dalszych wkładek.

# ZE ŚWIATA RADJA

## DWIEŚCIE TYSIĘCY ODBIORNIKÓW PRZYGOTOWUJĄ POLSKIE FABRYKI.

Jedną z najmłodszych gałęzi polskiego przemysłu, przemysł radiotechniczny, rozwija się obecnie coraz bardziej, w miarę, jak szerokie koła społeczeństwa zwiększają swoje zainteresowanie radjem. Przemysł ten zatrudnia obecnie w Polsce około 4.000 robotników, o znaczeniu zaś jego świadczy fakt, że w ubiegłym sezonie handlowym dokonano obrotów na sumę około 30.000.000 złotych.

Na nowy sezon, który dla aparatów radiowych rozpoczyna się w jesieni, przemysł radiotechniczny w Polsce przygotował się bardzo skrupulatnie. Wybitny wzrost abonentów Polskiego Radja, który w ubiegłym roku wyniósł około 100.000, pozwolił przemysłowi radiotechnicznemu obliczyć, że w b. r. należy wyprodukować około 200.000 odbiorników radiowych, aby zaspokoić krajowe potrzeby.

Przemysł radiotechniczny podzielił się na szereg specjalności, t. j. są fabryki, które produkują tylko części składowe odbiorników i są również fabryki, które z tych części, według swoich schematów, montują gotowe odbiorniki.

Wszystkie placówki przemysłu radiotechnicznego zgrupowały się w Polskim Związku Przedsiębiorstw Elektrotechnicznych, w którym tworzą osobną Sekcję.

W bieżącym sezonie zostanie wprowadzony z inicjatywy Związku znak jakości, w który zostanie zaopatrzone każdy odbiornik, odpowiadający pewnym minimalnym, ale zasadniczym warunkom, gwarantującym jakość i bezpieczeństwo odbiornika. Rzecz naturalna, że tylko fabryki, które posiadają odpowiednie laboratoria, zaopatrzone w należyte instrumenty, narzędzia i maszyny do wyrobu odbiorników, będą mogły zyskać prawo umieszczania znaku jakości na swoich aparatach. Tem samym całe mnóstwo radjoodbiorników, które rzucali stale na rynek niekompetentni radjoamatrzy i różni drobni monterzy, powoli zacznie znikać, gdyż tacy wytwórcy nigdy nie uzyskają prawa umieszczania znaku jakości na swych odbiornikach. Będzie to zjawisko dodatnie, gdyż wytwórcy ci w wielkiej mierze przyczyniali się do negatywnej propagandy radja. Poza tym ludzie ci skut-

kiem wzmoczonej produkcji fabrycznej znajdują wówczas miejsce w zorganizowanych warsztatach przemysłowych. Wreszcie na wprowadzeniu znaku jakości zyska niewątpliwie radjoabonent, albowiem będzie miał niesłychanie ułatwiony wybór

odbiornika. Prace nad wprowadzeniem znaku jakości są dorobkiem wspólnych wysiłków Polskiego Zw. Przeds. Elektr., jako inicjatora, Stowarzyszenia Elektryków Polskich i Państwowego Instytutu Tele-Komunikacyjnego.

NABYCIE RADJOODBIORNIKA JEST



ZAUFANIEM

# ECHO

121-Z  
121-S  
131-B

## Radjoodbiorniki wysokiej klasy w niskiej cenie

cechowane znakiem SEP (Stow. Elektryków Pols.)

**Na poczet należności Przyjmujemy obligacje Pożyczki Narodowej w/g kursu emisyjnego po 1 obligacji 50-złotowej za odbiornik**

	warunki normalne na raty	za got.	przy zapłacie należności 50 zł. obligacją Pożyczki narodowej
typ 121-Z na prąd zm.	zł. 170.-	zł. 153.-	zł. 105.-
typ 121-S na prąd st.	zł. 195.-	zł. 175.50	dopłata gotówką zł. 127.50
typ 131-B bateryjny	zł. 160.-	zł. 144.-	zł. 96.-

### Sprzedaż w Warszawie:

Block-Brun S. A., Krak. Przedmieście 42/44, K. Brun i Syn. Bielańska 2, Herman i Grossman, Mazowiecka 16, A. Klimkiewicz, Marszałkowska 154, B. Rudzki, Marszałkowska 146, Radjo-Foto, Żolibórz, ul. Mickiewicza 27, Kerntopf i S-ka, Szpitalna 9, B-cia Borkowsky S. A., al. Jerozolimskie 6, A. Rotnicki, Wileńska 15, Polskie Elektro-Radjo, Targowa 69, T. Szczyński, Wolska 28, „Pradnica”, Żelazna 75-a, M. Bajkowski, Chmielna 43, „Universum”, Grochowska 58-a, K. Brzeziński, Krucza 49, J. Caboche, Al. Jerozolimskie 31, Sklep PZT-Państwowych zakładów Tele i Radiotechnicznych, Krakowskie Przedmieście 11 oraz większe sklepy radjowe na prowincji.

## Pielgrzymka do Ziemi Świętej

Dowiadujemy się, że Liga Katolicka w Katowicach organizuje na Boże Narodzenie w dn. 17. XII. 35 r. — 7. I. 36 r. wielką pielgrzymkę do Ziemi Świętej statkami „Polonia” i „Kościuszko”. Trasa: Konstanta — Jaffa — Jerozolima — Betleem — Jerycho — Jordan — Morze Martwe — Nazaret — Tyberjada — Kafarnaum — Góra Tabor — Haifa — Góra Karmel — Ateny — Konstantynopol. Pierwszy raz w dziejach pielgrzymstwa polskiego uczestnicy spędzą noc wigilijną w Betleem i wysłuchają niezapomnianej na całe życie Pasterki w Grocie Narodzenia. Koszt uczestnictwa (875 zł.) został rozłożony na 6 rat miesięcznych. Zapisy przyjmuje Liga Katolicka, Katowice, Piłsudskiego 58 i Francopol, Warszawa, Mazowiecka 9.

akc. 158/68K

<http://rcin.org.pl>







P. II.

139